

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok VIII

Warszawa, dn. 21. VII. 1951 r.

Nr 29 (311)

JÓZEF CHAŁASIŃSKI

„Młode Pokolenie Chłopów” czytane na nowo

Szukanie drogi do własnego narodu. To był niewątpliwie problem, który nurtował niejednego intelektualistę polskiego w latach międzywojennych. Nie było jednak zupełnie zrozumienia, że droga ta prowadzi nieuchronnie przez rewolucję społeczną, przekształcającą klasową strukturę Polski i rozrywającą klasową izolację polskiej inteligencji uniwersyteckiej. I to był tragizm tego pokolenia.

W referacie wypowiedziano szereg uwag o „Młodym pokoleniu chłopów”. Kompleks zagadnień teoretycznych i metodologicznych, jak i się wiąże z tą pracą, jest bardzo duży. Nie ma możliwości ich tutaj omówić. Tylko niektóre sprawy mogą tu być poruszone. Przede wszystkim umiejscowienie tej publikacji wśród prądów nurtujących inteligencję lat międzywojennych.

„Młode pokolenie chłopów” zrodziło się z problematyki wyjścia narodu polskiego z okresu „narodu szlacheckiego”. Problematyka ta miała dla autora bardzo osobiste aspekty. „Młode pokolenie chłopów” było dla autora przełomowym etapem na drodze odnajdywania społecznego i moralnego sensu własnej pisarskiej i naukowej aktywności. Było wyzwalaniem się z kręgu kosmopolitycznego, arystokratycznego in-

telektualnego. Było szukaniem po omacku drogi do narodu. Sytuacja uczonego, bytującego poza swoim narodem, jest sytuacją tragiczną. Szukał go Czarnowski i szukali go inni. Szukaliśmy tej drogi w latach międzywojennych, szukaliśmy w latach okupacji hitlerowskiej, i szukaliśmy jej po wojnie. Szukaliśmy w pojedynkę, sam na sam z sobą, w nurtującym sumieniu niepokoju o moralny sens naszego życia. Nie było znużeniu, dzielić się między sobą tymi bolesnymi doświadczeniami. Ale czy nie mamy teraz obowiązku powiedzieć prawdy samym sobie? Czy nie mamy tego obowiązku wobec wielkości przełomowego okresu historycznego, w jakim uczestniczymy? Czy nie mamy tego obowiązku wobec konieczności ustalenia kierunku kształtowania młodego pokolenia Polski Ludowej?

„Młode pokolenie chłopów” było dla mnie osobiste szukaniem drogi do narodu. I tym samym było dla wielu jego czytelników spośród inteligencji i spośród młodzieży chłopskiej, która tę książkę czytała, odnajdując w niej swój własny problem osobisto-społeczny.

Książka ta wśród inteligencji, moim zdaniem, spełniała podwójną rolę: pozytywną i negatywną. Książka ta uświadamiała inteligencję, że

zagadnienie świadomości społeczno-moralnej inteligenta polskiego jako członka polskiego narodu, leży w klasowej płaszczyźnie stosunku inteligenta do problemu chłopskiego. W tym względzie książka zostawiała wśród czytelników niepokój, domagający się rozwiązania tego problemu. To była jej strona pozytywna, jakkolwiek z drugiej strony fałszywie odrzucała problem chłopski od problemu robotniczego.

Negatywna rola tej książki polegała na tym, że, postawiwszy istotny problem, dawała „jego” rozwiązanie iluzoryczne, utopijne — zgodne z tradycjami kosmopolitycznej międzynarodówki „dobroci i mądrości”, w której Znamiecki („Ludzie teraz nieśmi” a cywilizacja przyszłości”) widział dźwignię historii cywilizacji.

Prawda moich przemysłów o „Młodym pokoleniu chłopów” polegała na tym, że rozwiązanie nie iluzoryczne, nie utopijne, lecz naukowe rozwiązanie problemu mogło być dane jedynie na gruncie rewolucyjnej marksistowsko-leninowskiej teorii narodu.

Już kiedyś na jednej z przedkongresowych dyskusji Sekcji Humanistycznej powiedziałem, że książkę tę nie rozumiem się, jeżeli się nie weźmie pod uwagę faktu, że zrodziła się z niewiary autora w rewolucyjną twórczą rolę historyczną klasy ro-

botniczej oraz w możliwość socjalistycznej rewolucji w Polsce.

Do tego trzeba dodać, że negatywnie zaciążyły na niej niewątpliwie wpływy burżuazyjnej filozofii społecznej. Wyraziły się one przede wszystkim w pojmowaniu klasy w dawnym przedmarksowskim rozumieniu oraz w oderwaniu problemu świadomości społecznej narodu od ekonomicznej bazy społeczeństwa.

Problematyka narodu nowoczesnego nie może być pojmowana naukowo, traktowana inaczej, jak w ramach marksistowsko-leninowskiej teorii rozwoju społecznego. Rozróżnianie narodów burżuazyjnych i narodów socjalistycznych, czego uczył Stalin, musi stanowić punkt wyjścia naukowej socjologicznej analizy przeobrażeń narodów nowoczesnych. Traktowanie tego zagadnienia w „Młodym pokoleniu chłopów” w innej płaszczyźnie oznaczało poświecenie najbardziej nowoczesnej marksistowsko-leninowskiej naukowej teorii narodu na rzecz klasowych koncepcji reakcyjnych, odpowiadających interesom burżuazyjno-kapitalistycznej hegemonii.

Choć nie uszczęśliwie jednostronności badań terenowych socjologii burżuazyjnej znalazły wyraz w „Młodym pokoleniu chłopów”, zasadnicza problematyka tej publikacji nie wy-

chodzi jednak poza system kapitalistyczny.

Wykracza poza czasowe możliwości naszej dyskusji, ustalenie kwestii, jaką wartość zachowuje ta publikacja, mimo że jest całkowicie przestarzała w swej zasadniczej koncepcji narodu i roli chłopów w jego historycznych przeobrażeniach. Przypada, że w stosunku do publikacji o tytuł istotnych momentach dla aktualnych przeobrażeń narodu polskiego — rewizja tej publikacji była obowiązkiem autora.

Wznowione po wojnie krytyczne zainteresowanie dla „Młodego Pokolenia Chłopów” przez tygodnik „Wies”, a bez gruntownej rewizji ze strony autora, potęgowało dezorientację intelektualną, przyczyniając się do opóźniania procesu dojrzenia świadomości dziejowej konieczności sojuszu chłopsko-robotniczego — oraz świadomości konieczności socjalistycznej przebudowy wsi polskiej.

Czy my filozofowie i socjologowie nie mamy obowiązku podsumować historycznego procesu, który się dokonuje naokoło nas i w nas samych? Proces ten ujawnia się coraz wyraźniej. Wielki historyczny proces polskiej rewolucji ludowej wchłania w siebie coraz więcej taborów, konstruktywnych umysłów polskiej inteligencji. To jest już zjawisko ma-

łowe i historyczne, na marginesie którego rozkładają się w historycznym bezsensie intelektualne ośrodki „izolacjonistów”.

Czas najwyższy, abyśmy sobie uświadomili, że sprawa polskiej rewolucji socjalistycznej to kryterium społeczno-moralnego sensu naszych poczynąń badawczo-naukowych i pedagogicznych. Z tego punktu widzenia nie mogą „nie zdyskwalifikować reakcyjnej społeczno-politycznej tendencji „Młodego Pokolenia Chłopów”.

Przed socjologią polską otwiera się pole pracy badawczo-naukowej niezmierznie płodnej i odpowiedzialnej. Jej wielka doniosłość teoretyczna i praktyczna idzie w parze z rewolucyjnością historycznych procesów, jakim podlega naród polski, o którym słusznie mówił niedawno Prezydent Bierut, że obecnie w wyniku rewolucji ludowej „jest o wiele bardziej ogólnonarodowy niż był kiedykolwiek w okresie burżuazyjnym.”

Józef Chałasiński

*) Nadesłany do redakcji przez rektora J. Chałasińskiego fragment przemówienia wygłoszonego na Podsekcji Filozofii i Nauk Społecznych Pierwszego Kongresu Nauki Polskiej w dniu 30 czerwca 1951 r.

PIOTR CHMURA

Nowe dzieje młodego pokolenia chłopów

Rozmawialiśmy niedawno z Dyzmą Gałaj na temat powojennego młodego pokolenia chłopów. Dyzma Gałaj dobrze jest znany czytelnikom „Wsi”. On pierwszy w roku 1948 wniósł na łamy naszego pisma sprawę Godzianowa, która odtąd z nich nie schodzi i chyba nie zejdzie. Obecnie pisuje stamtąd najmłodsza gwardia, licealiści godzianowscy. Tego lata do tak rozslawionej wsi wyruszyła brygada warszawskich studentów socjologii. Pewnie im Mozga pokaże „historyczny zabytek”, chałupinkę glinianą, którą wystawili Gałajowi podczas okupacji, aby uczył młodych i postarzałych Wiciwóć, bo wojna przyniesie zmiany, bo będzie inaczej, a oni chcieli w rewolucję wnieść jak największy wkład. Powojenne dzieje Godzianowa czytelnicy poznawali z roku na rok. Było to jakby doświadczalna stacja „Wsi”.

Dziś Mozga, który syna „dogonił” na studiach uniwersyteckich, pracuje w spółdzielni produkcyjnej w rodzinnym Godzianowie. Licea-

Wspominałem Gałajowi o młodej wsijskiej z pinczowskiego, jaką znalazłem z tajnych kursów gimnazjalnych w okresie okupacji. Pamiętam ich, kiedy jeszcze byli dziećmi, pamiętam jak rośli, jak się żarliwie uczyli, jak z książką i pepeszą przeżyli rok 1944, kiedy „powstaniem pinczowskim” zostało zgłodniałe wspaniałe, zbiorowe powitanie nadszającego Armii Czerwonej. Powstanie wybuchło tuż za pierwszą linią frontu niemieckiego. I spotkali się i witali z pierwszymi oddziałami radzieckimi. Front się jednak cofnął i młodzież w zagrożeniu doczekać musiała jeszcze do stycznia 1945 r. A potem, w 1945 i 46 r., ci pierwsi, którzy złożyli maturę, chłopcy i dziewczęta, opowiadali Gałajowi — czy dasz wiarę, dokąd powędrowali na studia? Do Wrocławia. O tym się najmniej wspomina. A przecież wraz z osiedlencami ciągnęła młodzież z różnych stron kraju po naukę, ciągnęła w tych samych dniach, kiedy robotnik dopiero dźwigał fabryki z ruin, kiedy je dopiero uruchamiał.

Czujemy to i dlatego jedziemy. Bezdziesiątka pionierów, trudności nas nie strasza, było uczelnia była nasza, robotniczo — chłopska. Można by dodać, co też na jedno wyjdzie, że Krakowa czy Poznania wstydzi się. A Wrocławia w ruinach — nie! Tam przyjdą ludzie pracy, tam przyjdą nasi ludzie, tam się będzie cenilo wysiłek i zdolność, tam, kiedy się weźmie udział w odbudowie i dźwignię wielkiego miasta do nowego życia — zdobędziesz bracie najlepszą legitymację obywatelstwa. Będzie to twoje miasto i twoja uczelnia.

Gałą, który słuchał moich wspomnień i przytakiwał milcząco, wyciągnął teraz jakąś teczkę i spośród formularzy i papierów wydobyl cząstkę, był to życiorys studenta akademii rolniczej, E. M., obecnie młodszego asystenta.

— Przeczytaj ten życiorys. Zawiera o wiele bardziej bogate dzieje. W tym życiorysie rozpamiętałem wędrowek obejmując Lubelskie, szczecińskie, rzeszowskie i olsztyńskie. A była to wędrowka nieustannego wzrostu, nieustannego wzmagania się sił rewolucji. Ci, o których opowiadałeś, dobiegli w pinczowskim do matury i do 18—20 roku życia. Dla nich najpilniejszą sprawą było zacząć się natychmiast o wyższe uczelnie. Szcześliwa edukacja tamta z okresu okupacji, edukacja na miejscu, w warunkach wiejskich, wydawała się im najcenniejszą dopiero połową dzieła, połową zwycięstwa. Za bardzo powiodło się z tą nauką, aby doświadczenie społeczne sprzed wojny, czerpane od ojców i otoczenia nie budziło w nich niepokoju o jutro. Czy pójdiesz chłopie z maturą dalej? Stąd ich gorączkowe a równocześnie naiwne skrupulatne obliczenia startu na uniwersytet. Oni pierwsi lata nowej Polski przeżyli na uczelni w obywatelstwie i dorobku na życie. Było to bardzo cenne z jednym poważnym brakiem: życia zaczęli się uczyć o wiele później.

Zyciorys, jaki ci dałem do przeczytania — pokazuje odwróconą drogę, od życia, od doświadczeń społecznych do wyższej uczelni. Kiedy nadeszło Wyzwolenie chłopak miał 15 lat. Te młodsze roczniki miały bujniejsze dzieje. Bardziej się przeorata rewolucja, najczęściej szli w górę z awansu społecznego, z pracy, przodownictwa i działalności.

Co można wyczytać z tego życiorysu, skróconego protokołami, jak to zwykle bywa w załącznikach do uniwersyteckich papierów? — osadził sam uczeń.

E. M. urodził się na Lubelszczyźnie, w roku 1930. Dziadek miał się jeszcze dobrze na 20 morgach. Ale już ojciec (jeden z trzech braci) dziedziczył tylko 6 morgów i nie szło. W latach kryzysu umarła mat-

ka, ojciec w „trzy roky” później. Zaspęła go żywem skarpa, gdy dorabiał kopaniem gliny i paleniem cegły na budowę plebanii. Pięcioletniego chłopca wraz z 6 morgami wziął w opiekę stryj. Stryjowi udało się zatem ponownie skleić roz-

klasy drugiej. Ten manewr chłopca zaskoczył stryj. Arendy, którą od lat przywykł uważać za swoją, wypadło teraz bronić już w otwartej wojnie z 15-letnim chłopcem. Trwała ona jeszcze półtora roku. W kwietniu 1946 roku, nie ukoń-

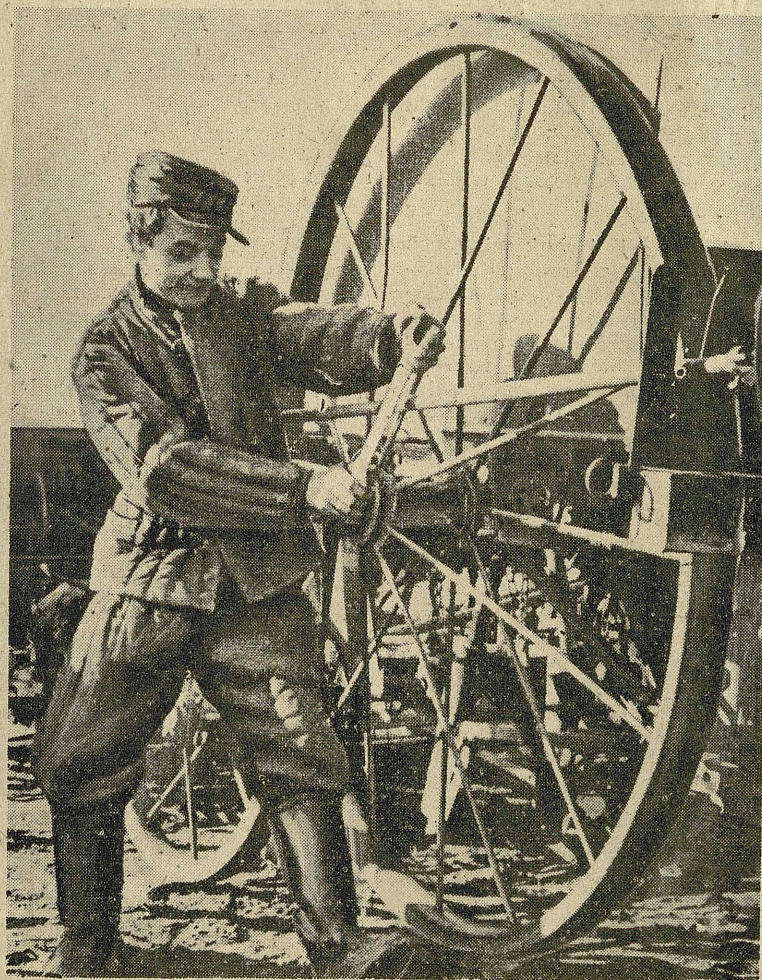
dzieli i ludzie majątku nowi, przybyli z różnych stron, oddychali, mimo zarządu, władz i karbowych, powiemem wolności, jaki niesły nowe czasy. Byli faktycznie pionierami, grupa, która miała opanować niemały szmat ziemi. Za ich plecami na starych ziemiach, w głębi kraju, gazety opisywały na dwiesięcie sposobów zasługi, wagę i znaczenie takich ludzi. Był to rok 1946, kiedy na Zachodzie Bevin i Churchill kwestionowali naszą granicę na Odrze i Nysie, kiedy Mikołajczyk przez Ministerstwo Rolnictwa lokował i tolerował w zarządach PNZ-tów byłych dziedziców i dawnych administratorów. Kiedy w najbliższych miesiącach miał się odbyć powszechny plebiscyt narodowy. Prości, dziesięć ludzi, o „szerokiej naturze” dobrze rozumieli, że jedno z „trzech razy tak” odnosi się nie tylko do samej ziemi odzyskanej ale i do nich i od ich pracy i dorobku zależy.

Nie chcemy poetyzować. Rzeczywistość w gruncie rzeczy przeważała poezję. Ludzie tu nie deklarowali ale harowali. Rozmiar zadań, rozmiar ziemi, mierzony, każdemu ukazywał z grubszą wielką plan. Co i ile trzeba zrobić wiedziało się jasno. Polityczna dywersja, operująca zastraszaniem i budzeniem wątpliwości i wahań, nie cofnęła ludzi tu uczących się wolności. Towarzysze naszego sieroty, jacy byli, to byli, ale chłopca niepokojem nie zrażali. Przeciwnie, jeśli mu posmakować wielkiej przestrzeni, wielkich robót i nowej techniki.

Awansowali go na „kolegę” z patriotycznej i klasowej potrzeby wtajemniczenia nowego przybysza, (choć był nim ledwie chłopczyzna) w nową ziemię, jako polską i ludową. Gdyby szukać argumentu, oświeclającego powagę i świadomość polityczną ich pionierskiej pracy, w tym właśnie „koleżeństwie” macie go, jak na dłoni. Chłopaka ustawili na przyczepie traktora i pojechał ślad jęczmień. Zobaczył, że to inna robota niż u stryja, „dobrego gospodarza” na niemałej ziemi. To chcieli mu właśnie pokazać towarzysze, nazywający siebie imionami traktorów. Taką lekcję nowego odbił u „Buldogą”. Potem pchnęli go z broniami, potem do sadzenia kartofli, wreszcie do rzepaku. Obiecał przestrzeń, uprawy i maszyn.

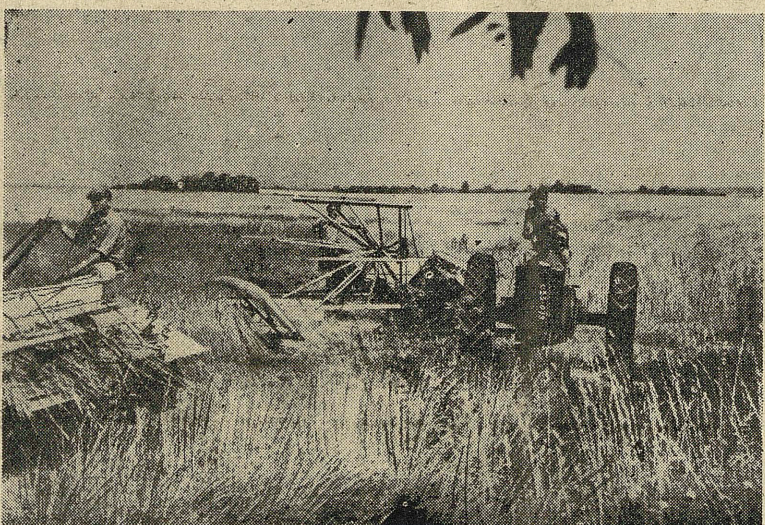
Najbardziej przylgnął do starego towarzysza partyjnego, z którym razem przyjechali na majątek z Poznania. Ten przed laty pracował na Śląsku, za organizowanie strajków przeszedł kilka lat w więzieniu, potem wraz z rodziną przeniósł się na wieś w kieleckie. Miał niedokończony gimnazjum.

(dokończenie na str. 7)



parcelowaną przez dziadka gospodarke. Miał swoich 6 morg, po najmłodszym bracie, którego dziadek wyuczył na prawnika a ten się przynależnej mu ziemi rzekł — nowych 6 morg, z dożywocia dziadka — 2 morgi i — teraz — niespodziewanie przybyła arenda na 6 morg. Łatwo się domyśleć, że ta arenda dla naszego bohatera, niosła w sobie jak chmura nieuniknioną burzę.

Stryj miał czworo dzieci. Najstarszy chłopak był rówieśnikiem sieroty. Ciężar pomocy w polu spadł na sierotę. Wcześniej też od innych chłopów nauczył się dobrze orać. Edukację rozszerzył książki ze szkolnej biblioteki, ukrywane u stryja oraz wyjazdy z kontyngentem do powiatowego miasteczka. W 1944 r. w Rzeczypospolitej Lubelskiej, stryj pchnął swego syna do pierwszej gimnazjalnej. Nasz bohater, który go odwoził na egzamin, wrócił również jako uczeń, przyjeżdży-



listom, którzy pochodzą z okolicznych gmin, wydaje się arka przyczyną między dawnymi a nowymi laty. W powiecie otoczyła go już legenda.

A Dyzma Gałaj? Wiekiem nawet młodszy od Mozgi, Gałaj, w roli pretekta, od roku pioniersko organizuje i rozwija nową akademię rolniczą w Olsztynie, teraz stawia tam na nogi Instytut Ekonomii Rolnej. Największą sprawą uczelni jest rejonizacja! Była to sprawa kiedyś najbardziej śmiałym marzeniem wiczarzy. Poezja, koronująca ich naiwne i d'lałego błędne polityczne wyobrażenia o możliwości racjonalnej produkcji rolnej w kapitalistycznej Polsce. Dopiero dziś, w socjalizmie, ta wizja, przed laty rozwijana półszepem, jak niedosiężny ideał, dziś dopiero przemienić się może w krew i ciało.

MARIA JANION

OTADEUSZU BOROWSKIM

„**S**wiat jest tak wielki i tak bogaty, a życie tak różnorodne, że nigdy nie zbraknie powodów do wierszy. Muszą to być jednak wiersze okończonościowe, to znaczy, że rzeczywistość musi być tu materialem i pobudką. Wszystkie moje wiersze są to wiersze okolicznościowe. — tak ujął kiedyś tajemnicę piękna i trwałości literatury wielki „Olimpijczyk” — Goethe. „Pisarstwo okolicznościowe”, pisarstwo walczące, związane z najżywczejymi problemami epoki, dziś mówimy — pisarstwo polityczne, albo — śledząc do najszczytniejszego kryterium oceny, zrodzonego z wielkości naszego czasu — pisarstwo partyjne.

Epoki takie jak nasza, czasy wielkiego przełomu, zapowiadającego widome szczęście i przyszłość, potrzebują i wydają jednak więcej niż „pisarzy okolicznościowych” — wychowują bojowników, walczących w pierwszej linii frontu literatury i frontu życia. Z frontu tego odszedł niedawno tragicznie zmarły Tadeusz Borowski.

Tadeusz Borowski, jeden z najwybitniejszych pisarzy młodego pokolenia, był z pewnością wśród nich najzabarwiony w poszukiwaniu prawdy naszego czasu i w namietnięj pasji walki o nią. Cała jego działalność pisarska była wcieleniem walki i trudów współczesności, nurtujących ją problemów i kierujących nią idei; każdy jego utwór stanowił płomienną, bojową odpowiedź, dotyczącą najistotniejszych spraw życia naszego narodu. Nie było książki czy artykułu Borowskiego, który by nie wywołał namiętnych dyskusji, zataczających coraz szersze kręgi i stającą się punktem wyjścia dla kampanii o nowe miejsce publicystyki w literaturze realizmu socjalistycznego. Artykuły o satyrze i karykaturze politycznej, o „pisarzu w terenie”, o „pracy młodego pisarza”, o własnej drodze pisarskiej („Rozmowy”) wywoływały najżywsze fermenty w środowisku literackim i pobudzały do podjętych poszukiwań ideologicznych. Wreszcie nie było artykułu z „niemieckiego notatnika” Borowskiego, który by, przełamując zastarzałe opory i zmuszając do twórczego przewartościowania dawnych pojęć, nie uczył zarazem nowego

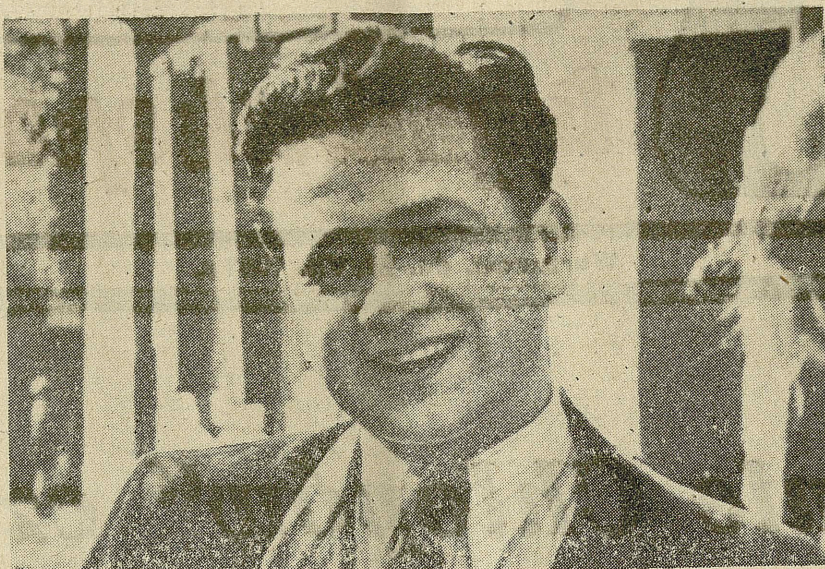
stosunku: braterstwa i przyjaźni dla Niemiec demokratycznych.

Każdy jego utwór godził wprost, bezpośrednio w serce największego przeciwnika ludzkości, któremu mówił w ślad za poetą: „...faszysto, wrogu mój śmiertelny”. Artykuł każdy z uporem i dobitnością wielkiego publicysty, podejmującego największy problem współczesności, zaczynał od katońskiego „caeterum censeo”: imperializm musi zginąć! Zarazem jednak podnity do wspólnego optymistycznego naszej epoki czerpał ze stwierdzenia: „Nasz wiek XX nie jest tylko wiekiem gnicia burżuazji. Nasz wiek XX jest wiekiem wyzwolenia klasy robotniczej całego świata, wiekiem samostanowienia i niepodległości narodów kolonialnych i kolorowych... W zwycięstwie naszego wieku śladu nie zostanie po zbrodniczym obliczu kapitalizmu. Nasz wiek XX przechowa w sobie mądre i techniczne odwołanie do oblicza wolnego człowieka”.

O teraźniejszość i przyszłość tego wolnego człowieka walczył bez wytchnienia. Jego orzechem w tej walce były najwznioślejsze idee epoki stalinowskiej: patriotyzm i internationalizm proletariacki, płomienna i bojowa partyjność komunistyczna. Były to zarazem najpiękniejsze cechy wybitnej osobowości pisarskiej Borowskiego, cechy twórcy i ideologa czasu zwycięstwa proletariatu.

Bogate doświadczenie życiowe warunkowało rozwój i dojrzewanie Borowskiego — pisarza i publicysty. W tym doświadczeniu nie zabrakło ani jednego z najważniejszych elementów naszej współczesności. Nie zabrakło przede wszystkim wstrząsających doznań „czasu pogardy”, krzywd i potwornych zbrodni faszystów. Wziętych nr. 119198, z obóz Oświęcimia i Dachau, wyniósł potężną, przepiękną czujną urażliwość na upodlenie człowieka, gorzką nienawiść do niehumanitarności świata faszystów. Ta szlachetna nienawiść, stojąca w obronie człowieczeństwa, stała się w przyszłości motorem jego twórczości literackiej.

Opowiadania z tomu „Pożegnanie z Marią” odznaczały się prężnym, ocoz bestialskimi obliczami faszystów, demaskowały zbrodniczość jego metody, obydę jego moralności, zgłębiały bezlistność straszliwie dno zgnębienia i poniżenia człowieka oraz cynizm jego oprawców. Borowski ukazywał z całą bezwzględnością, jaką bezradna była wobec zuprowadzenia faszystów moralność mieszczańska, jak w świecie okrucieństwa i zbrodni zatamował się i upadł każdy człowiek, który nie znalazł



oparcia w idei walki. Faszystom nie mieścił stawał przed bezlistnym sądem pisarza, który oskarżał w imieniu setek tysięcy więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych, którzy wskazywali ich namietne przedśmierne pragnienie, aby ludzkość zapamiętała zbrodnie na nich popełnione i aby je pomściła. Tak przemawiał do czytelnika „Pożegnanie z Marią”. Zarazem w opowiadaniu „Bitwa pod Grunwaldem” Borowski z zadziwiającą przenikliwością ukazał zjawiska, które miały ostatecznie przyspieszyć przemianę antyfaszystów „dobrej woli” w świadomych bojowników o komunizm. Obraz Niemiec okupowanych sygnalizuje tożsamość metod zwycięskiego amerykańskiego imperializmu i pokonanego faszystowskiego niemieckiego, zapowiadając sojusz, którego naczyniem świadkami jesteśmy od kilku lat. Ten dowód politycznej przenikliwości świadczy o bystrości spojrzenia przyszłego autora „Opowiadań z książek i gazet”, bezlistnego demaskatora „demokratów” zza Oceanu. „Pożegnanie z Marią” podejmowało także dyskusję ideologiczną z „karmelkowym, oleodrukowym i bogoojczyźnianym” (jak to słusznie określiła krytyka) obrazem życia pod obuchem faszystów, jaki przekazywała m. in. „All-cja w krainie czarów” — Zofia Koska-Szczuka.

Tom opowiadań Borowskiego wydany w roku 1948 formułował krytykę „czasów pogardy” z pozycji antyfaszystowskich. Borowski zbyt silnie związany był jednak z rzeczywistością polityczną. Doświadczenia z okresu faszystów pozwoliły Borowskiemu wyciągnąć najistotniejsze dla współczesności

staniającego klasowego oblicza faszystów, protestu przeciwko ponuremu światu obozów koncentracyjnych. Tak zarysował się następny etap jego drogi ideologicznej, która przebiegała według formuły, jaką określił życie swego niemieckiego przyjaciela: „Był tylko antyfaszystą, ale pewnego dnia, gdy Amerykanie rozprężyli wiec byłych więźniów w Dachau, zrozumiał, że trzeba być komunistą”. W 1948 roku Borowski wstąpił do Polskiej Partii Robotniczej. Z okresu doświadczeń faszystów wyciągnął właściwe, rewolucyjne wnioski.

Szczególnie wymowy nabrali na tym tle fakt, że właśnie pisarz więziony i torturowany przez hitlerowskich przestępców tak głęboko i gorąco pojął słowa Stalina o narodzie niemieckim, który pozostaje, gdy odejdą deprawujący go faszysty. Borowski stał się jednym z pionierów idei braterstwa Polski Ludowej i Niemiec Demokratycznych. Jako jeden z pierwszych publicystów Borowski zabiera się do wypełnienia „kompleksu niemieckiego” w świadomości Polaków, uczy rozróżnienia pojęć „Niemiec” i „imperialista niemiecki”, „junkier czy kapitalista niemiecki”, „hitlerowiec”. Jego publicystyka, poświęcona sprawie niemieckiej, przepojona głębokim internationalizmem i gorącym umiłowaniem idei socjalizmu, stanowi jedną z najdojrzalszych kart w dorobku literackim Borowskiego. Pozostanie ona wśród najwybitniejszych osiągnięć polskiej publicystyki politycznej.

Doświadczenia z okresu faszystów pozwoliły Borowskiemu wyciągnąć najistotniejsze dla współczesności

wnioski. Jako jeden z podstawowych punktów swego programu pisarskiego wysunął on walkę z imperializmem, który przecieżył rodzi „co dzień, co godzi” — faszyzm. W „Rozmowach” pisał: „Wydaje mi się, że miałbym teraz siły, aby wszystkimi sposobami przykładać się do walki z imperializmem: pamfletem i paszkwilem, reportażem i wywiadem, felietonem i esejem. Nie chcę zrezygnować z żadnego ciosu, który można zadać”. Realizacja tego stanowiska były wydane pod koniec roku 1949 „Opowiadania z książek i gazet”.

Najlepszą miarą partyjnego pisarstwa Borowskiego może być jego zainteresowanie dla bojowej publicystyki socjalistycznej, dla jej bogatych form literackich, które umiał z takim mistrzostwem stosować we własnej twórczości. Opanował najsubtelniejsze odmiany publicystycznej sztuki pisania, którą nazywał „retoryką naszych dni”. Istotnie — nie zrezygnował z żadnego ciosu, który można było zadać gnijącej kulturze imperializmu, z żadnej okazji, w której mógł przyswoić kłamstwu burżuazji.

Szeroką swą kulturę literacką, głęboką znajomość najlepszych narodowych tradycji bojowej publicystyki i satyry postępowych okresów naszej literatury, Borowski wzbogacał i przekształcał doświadczeniem epoki socjalizmu, twórczym przyswojeniem osiągnięć literatury radzieckiej. Wiele z jego artykułów publicystycznych stanowiło — wbrew pewnym niesprawiedliwym grymasom krytyki — szkołę pisarskiego realizmu. Uczyły one politycznej przenikliwości, celności i demaskowania wroga klasowego, płomiennego bojowości w walce o lepszy świat. Publicystyka Borowskiego nie była jednak nigdy martwym i schematycznym wyliczaniem politycznych prawd. Odnaczała się ona klarownością i plastycznością obrazu artystycznego, dobitną metaforą, erudycyjnym bogactwem myśli, czystym i gładkim językiem. Była to „publicystyka artystyczna”, dotrzymująca kroku prozie i poezji. Borowski takiej publicystyce wyrobił jedno z szczytnych miejsc w nowej polskiej literaturze realizmu socjalistycznego.

Książka Borowskiego o „szaleństwie świata kapitalistycznego” stała się zarzewiem twórczej dyskusji wokół wielkiej sprawy publicystyki. Jej znaczenie leży właśnie w tym, że ukazała nowe możliwości literatury polskiej.

„Opowiadania z książek i gazet”, pełne odrazy i nienawiści do „nocy

amerykańskiej”, zawierają zarazem gorący manifest miłości do człowieka i wstępy w jego przyszłość. W szkicu „Eppur si muove!” — przeciwko klerykalnej ciemnocie, imperialistycznemu zezwierzęceniu — pisarz woła: „Zegul, Ziemia, po szlakach Wschodu, wielka, piękna, wspaniała Ziemia! Nigdy nie była ojczyzną tyranów i inkwizytorów. Była i zawsze Ziemią Koperników, Galileuszów i Einsteina”. Ten optymizm, płynący ze zwycięskiej siły i bohaterstwa proletariatu, stanowił nieodłączną cechę pisarstwa Borowskiego. Decydował on także o jego aktywnym i płodnym udziale w wszechstronnej walce o pokój. Tej walce poświęcił swe pióro Borowski bez zastrzeżeń. Nie było w nim ani grama fałszywego wstydu estety, bojących się skalać swe pióro wśród nadto już „publicystycznych tematów”. Napisał świetną broszurę skierowaną do młodych agitatorów pokoju. Ze swojej trybuny walki o pokój — „małej kroniki”, zamieszczanej przez rok w „Nowej Kulturze”, Borowski co tydzień konkretnie i rzeczowo omawiał poszczególne etapy i wydarzenia tego najszczytniejszego boju, jaki prowadzi dzisiaj ludzkość. O pokój walczą jednak nie tylko broń publicystyki, także i żywym słowem głosił nieubłagane zagładzie ludobójczej cywilizacji podlegających wojennych.

Wymotowanie kilku tylko wyżej wspomnianych faktów wskazuje, że Borowski nie był nigdy „pisarzem zza biurka”. Był także mądrym i przenikłym działaczem społecznym, dokumentującym własnym życiem komunistyczną jedność teorii i praktyki. Na wszystkich zjazdach literackich, w wielu redakcjach, na licznych zebraniach słyszano jego rady i wskazówki, jego bezkompromisowe oceny. Jego entuzjazm i zapal w walce o nową literaturę udzielał się wszystkim. Był troskliwym opiekunem i cierpliwym wychowawcą najmłodszej kadry literackiej, czynnym doradcą swoich kolegów po piórze. Wśród najpiękniejszych cech jego charakteru dominowała szlachetność dla ludzi, troska o ich życie i pracę.

Borowski oddał swój wielki talent i płomienną serce bojownika na usługi Polski Ludowej. Bezgraniczne umiłowanie Narodu i Partii cechowało każde jego wystąpienie. Doniosły i twórczy jest jego wkład w rozwój literatury realizmu socjalistycznego. Wśród młodych i twórców tej literatury imię jego pozostanie na zawsze.

MARIA JANION

Zadaniem naczelnym rocznych prac przedkongresowych i samego Kongresu Nauki Polskiej było dokonanie przełomu, który by sprawił, że nauka polska dorówna kroku wielkim społecznym przemianom w dziejach naszego narodu, że wypełni nowe i wielkie obowiązki, które w zakresie wychowania człowieka i przekształcania gospodarki na niej spoczywają.

Jednym ze składników tego przełomu było powołanie uczonych do służby dla narodu. Samo hasło nie jest nowe. Postępowa nauka polska formułowała je już dawno. Już St. Staszica, prezes Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk, wskazywał, iż „umiejętnością dopodążać jeszcze prężnym wynalazcom, może czynnym tylko rozumowi wywodem albo próżniactwa zabawa, dopokąd nie są zastosowane do użytku narodów”. Słowa Staszica umieszczono na zaproszeniach kongresowych, widniały one również na sali obrad, były obecne w umysłach wielu uczestników.

Ale hasło Staszica, sformułowane w samych początkach kształtowania się układu kapitalistycznego w Polsce, w okresie, w którym miał on — prowadząc walkę z ustrojem feudalnym — dość liczne elementy postępowe, nie mogło być realizowane w warunkach kapitalizmu, zwłaszcza w okresie jego pełnego rozwoju. Stało się właśnie jednym z osiągnięć prac przedkongresowych — wykazanie, jak w poszczególne dziedziny naszego życia — szczególnie w okresie imperializmu — kapitalizm wyniszczał narodową gospodarkę, jak eksploatował człowieka, i jak w wyniku tej drapieżnej eksploatacji ziemi i ludzi niweczył wysiłki najlepszych uczonych, pragnących służyć narodowi, wpręgał innych w jarzmo służby klasie panującej.

W referacie Sekcji Nauk o Ziemi czytamy: „W krajach kapitalistycznych poszczególne działy nauk o ziemi rozwijają się nierównomiernie i bezplanowo. Kierunki badań naukowych i problematyka nauki zależą od koniunktury i sprzecznych nie raz interesów kapitalizmu... przy tym postawa ideologiczna poszczególnych uczonych, bywa często aspołeczna. W wyniku tego często nie interesuje ich ani cel, ani kierunek, w jakim wyniki badań ich zostaną wykorzystane... W krajach kapitalistycznych praca naukowa, zmierzająca do pełnego opanowania, a nawet przeobrażenia środowiska geograficznego jest niemożliwa z powodu — przeciwnie — interesów indywidualnych,

BOGDAN SUCHODOLSKI

NARESZCIE W SŁUŻBIE NARODU

stosunków własnościowych i gospodarki, prowadzonej dla osiągnięcia maksymalnych zysków, choćby kosztem naruszenia i zaburzenia praw przyrody oraz rabunkowego wyniszczenia jej zasobów.”

Sekcja biologii i nauk rolniczych stwierdza: „Kryzys rolniczy (w Polsce międzywojennej) pogłębiał jeszcze nędzę mas chłopskich, natomiast obszarom kazał mówić o „kleście urodzaju”, co pociągało za sobą zmniejszenie nakładów i brak zainteresowania dla postępu produkcji, a więc i dla wyników nauki. Na tle ówczesnej rzeczywistości ekonomicznej i politycznej staje się zrozumiałe malejące znaczenie nauk rolniczych... nie znalazły warunków rozwoju ani nauka o uprawie roli ani badania nad bilansem wodnym, ani mikrobiologia gleby, ani badania nad plodozmianną, ani fizjologia roślin uprawnych... wszechstronny rozwój nauk rolniczych, leśnych, ogrodniczych, weterynaryjnych nie był ówczesnemu rządowi potrzebny, co więcej nie był w ówczesnym ustroju ekonomicznym możliwy.”

Referat Sekcji chemii i technologii chemicznej wylicza długą listę obcych koncernów kapitalistycznych, gospodarujących w międzywojennej Polsce i stwierdza: „polskiego inżyniera i naukowca w zupełności lub prawie w zupełności wyłączono z udziału w pracach badawczych i konstrukcyjnych w większości dużych zakładów przemysłowych naszego kraju.”

Referat Sekcji energetyki i elektrotechniki stwierdza, iż „fakt powstrzymywania u nas przez kapitalizm samodzielnego postępu nauki i techniki... nie ulega wątpliwości. Dewiza stosowana w Polsce przez kapitalizm była osiągnięcie „jak największego i jak najprędszego zysku przez inwestowanie możliwych środków... jakaś niewidzialna ręka powstrzymywała skutecznie rozwój całoci przemysłu, jak również biur konstrukcyjnych, urządzeń technicznych, instytutów badawczych.”

Sekcja budowy maszyn i technologii mechanicznej rejestruje liczne przykłady badawczych i konstrukcyjnych wysiłków polskich uczonych, zmarowanych przez ówczesne warunki. „Biuro studiów i konstrukcji Państwowych Zakładów Inżynierii

nie miała w dorobku wykonanych kilka typów samochodów ciężarowych i pojazdów specjalnych oraz jeden typ samochodu osobowego i trzy typy motocykli. Kiedy produkcja tych pojazdów mogła być wykonywana już w dużych seriach, rząd sanacyjny zawierał w tym czasie umowy równocześnie z trzema koncernami zagranicznymi na montaż samochodów obecnej konstrukcji w Polsce.”

W podobny sposób charakteryzowano sytuację w obradach i studiach innych Sekcji. Staszicowska zasada, by „umiejętności służyły narodowi” może być urzeczywistniana tylko w warunkach socjalizmu, w warunkach, w których naród jest rzeczywistym gospodarzem na swej ziemi. Zniweczenie panowania

JAN KOPROWSKI

PEJZAŻ

Obraz odciska się w pamięć: słońce zachodzące ploszy chmury nad wzgórz i lasów. Jakże mi żal, że krok za krokiem noc się zbliża, do zagrod śpięsz sennie gęsi i ziarna porzucają kury.

Człowiek zszedł z pola i w gromadzie krocząc prosił swoje kości. Drogą ich własny cień prowadził jakgdy im zalecał pościć. Ścieżkami, póki jeszcze widno, topole pędzą z pastwisk bydło.

Stoisz na wzgórzu, gdzie po szynach przemknął z loskotem czarny podciąg. Matka wygląda swego syna, czy wróci z miasta dziś przed nocą. Pojechał tam w gromadziej sprawie — niezalatwionej nie zostawi.

Patrzyś wokół, myślisz: Polska zbiera się do snu. Noc się lasi. Bliższa żarówka — do nich dojsz tam, światło toruje drogi na wsi. Ktoś wodzi palcem po gazecie, którą w poludnie przyniósł listonosz.

„Dwadzieścia nowych gromad w powiecie ma „światło” — czyta. Oczy mu płoną. Cieszy się pamięć, gdy wspomina ten pejzaż. I powtarzam drżąc: za wczoraj wieczór się zaczyna i dzień za wczoraj nam się kończy.

obcego i rodzimego kapitału, likwidacja wielkiej własności rolnej, przejęcie przez Państwo Ludowe kierownictwa całego życia gospodarczego i polityka planowego rozbudowywania narodowej gospodarki — wszystko to stanowi zespół warunków, stawiących przed nauką polską nowe, wielkie, odpowiedzialne zadania. Główny wysiłek w obradach specjalistów zmierzających do zarejestrowania najpilniejszych potrzeb badawczych w różnych zakresach i ustalania hierarchii ich ważności. „Obecnie głównym zadaniem nauk o Ziemi — czytamy w sprawozdaniu — jest świadome włączenie się w prace zmierzające do budowy socjalizmu w Polsce, umożliwienie i przyspieszenie tego procesu.” Biologowie stwierdzają:

„Przebudowa zacojanego, drobnotowarowego rolnictwa w rolnictwo społeczne, wysoko produkcyjne, uspołecznione, otwiera nauce tak duże możliwości pracy doświadczeniowej, jak i sprawdzania osiągniętych wyników w praktyce, jakie nigdy dla naszej nauki nie istniały.” Podobnie referat Sekcji budowy maszyn i technologii mechanicznej głosi: „Po wyzwoleniu wytworzyły się nas warunki szczególnie sprzyjające rozwojowi nauk związanych z budową maszyn i technologią mechaniczną” i wylicza najpilniejsze zadania badawcze. „Nowy ustrój Polski — pisał medycy — stawia zagadnienie medycyny na zupełnie innej platformie... problematyka planu na obecne 6-lecie stanęła już, względnie stanie przed naszymi naukowcami, tak bardzo bogata, jak rozległe są potrzeby naszego życia, naszej służby zdrowia.”

Procesowi uświadamienia, iż przed naukami przyrodniczymi i technicznymi stanęły w Polsce Ludowej nowe i wielkie zadania, towarzyszyła świadomość, iż zadania te mają charakter głęboko humanitarny. Osiągnięcia naukowe w społeczeństwie socjalistycznym nie stają się ani narzędziami wyzysku ani narzędziami wojny i zniszczenia. Służą one jako oręż w walce z przyrodą o podniesienie poziomu życia, o wzrost dobrobytu, o lepsze zdrowie, o postęp wszelkiego rodzaju. W wielu sekcjach wskazywano, jak kapitalizm, zwłaszcza w fazie imperializmu, wpręga uczonych w służbę polityki wojny i eksploatacji — i tylko likwidacja kapitalizmu może zapewnić uczonym pełne wykorzystanie społeczne ich pracy.

Hasło nauki w służbie całego narodu ma sens — oczywiście — nie tylko w zakresie nauk przyrodniczych i technicznych. Ma ono sens również i w zakresie nauk społecznych, humanistycznych, ekonomicznych. W tych zakresach sens ten jest szczególnie rewolucyjny. Nauki te bowiem należą do nadbudowy w znacznie większym stopniu, niż nauki przyrodnicze i techniczne, do nowego typu myślenia o humanistyce, o jej przeszłości i jej zadaniach, o dobie tworzenia się narodu socjalistycznego.

Prace przedkongresowe i sam Kongres stały się wielką szkołą nowego typu myślenia o humanistyce, o jej przeszłości i jej zadaniach, o dobie tworzenia się narodu socjalistycznego.

BOGDAN SUCHODOLSKI

część składową ideologii: poglądy filozoficzne, prawne, estetyczne, moralne. Humanistyka staje więc wyraźnie — wbrew pozorom swego oderwania — w ogniu walki klasowej. Tworzenie nowej bazy, bazy socjalistycznej, wymaga radykalnego zrewidowania nauk humanistycznych, budowanych w dobie kapitalizmu, wymaga głębokiego przekształcenia postawy uczonych, którzy ma odłączyć swą pracę socjalistycznemu narodowi. „Teza o przynależności humanistyki, w jej części najważniejszej, do nadbudowy społeczeństwa, a więc teza o jej klasowym charakterze, niezwykle ostro stawia problem stosunku do tradycyjnej humanistyki, a tym samym i problem jej radykalnej przebudowy w duchu potrzeb nowego społeczeństwa.”

Bojowy aktyw uczonych — marksistów wykazywał fałszywość tradycyjnej koncepcji nauki, jako działalności apolitycznej i autonomicznej, wskazywał społeczno — polityczną treść doktryn pozornie zupełnie oderwanych od życia, demaskował złudne przekonania burżuazyjnych uczonych, iż mogą oni stać ponad toczącą się walką klasową. I równocześnie aktyw ten formułował postulaty naukowe, które muszą być spełnione, jeśli humanistyka ma wyzwolić się z tych zależności i uwolnić.

W różnych dziedzinach humanistyki walka ta jest w różnym stopniu zaawansowana. Ale nie było dziedziny, w której nie byłaby ona wydana, dziedziny, w której nie przynosiłaby pierwszych zwycięstw. Kongres podsumował wszystkie osiągnięte zwycięstwa, wskazał drogę dalszej systematycznej pracy. Przed pracownikami naukowymi w dziedzinie polonistyki, sztuki, historii, pedagogiki i psychologii, ekonomii i prawa stanęło wyraźnie niż kiedykolwiek dotychczas zadanie uniknięcia i czynnego zrewidowania nauk tradycyjnych, odziedziczonych w spadku po okresie kapitalizmu, teorii, pojęć, metod badawczych, a nawet zgromadzonych materiałów faktycznych. I wyraźniej niż kiedykolwiek dotychczas stanął obowiązek zrewidowania własnej postawy wobec życia i zadań społecznych, które uczeni mają do wypełnienia.

Prace przedkongresowe i sam Kongres stały się wielką szkołą nowego typu myślenia o humanistyce, o jej przeszłości i jej zadaniach, o dobie tworzenia się narodu socjalistycznego.



TEOFIL KOWALCZYK

Z MOJEGO DZIECIŃSTWA

1

W Miechowskim była taka wieś,
Krepa — deskami zabita.
Zwano sołtysa zwyczajnie — Grześ,
Co w świecie, Grzesiu, nie świta!
Przypiera do niej jakicki las,
a obok czapelska dąbrowa,
chłopi w spóźniony stawiali tu czas
na polach przy orce, przy krowach.
Tam świat ujrzalem, najstarszy syn
w rodzinie biednego chłopca.
Godnie święcono ten dumny dzień
w życiu idącym zazwyczaj na opak.

2

Ojciec do szkoły chodził. W Gołczy. Zimy trzy.
Nie na marne poszła nauka:
belfrowi sieczkę rznął, uczniem nie był złym,
choć alfabet ledwie dukał.
Matka? — Cóż, matka! Zwyczajny babski los!
Byłe długiego nie miała panienstwa!
Edukowano ją, aż dziadkom pękał trzos,
na książce do nabożeństwa.
To były czasy! I mnie też
horoskop stawiano świetny:
gesi miałem pasać za lat pięć. I wierzę
nie wierzę — horoskop był mętny.

3

O, bracie! Wtedy panował car
Mikołaj II, zuch nad zuchy!
Z Leninem już Stoliypin się dął
po co chłopom wolności okrzyk.
Mój ojciec śpiewał w lesie na głos,
z innymi, że chłopski los garbaty.
Usłyszał kozacy z dwudziestu wiorst
i na skórze mu śpiew wytkuli batem.
Herojem nie był ojciec, więc dudy w miech!
Przy spowiedzi potępił go ksiądz dobrodziej.
To były czasy, bracie! Ech!
Po co chłopu do lasu chodzić?
Próżno tłumaczył ojciec, że
ten śpiew mu życie w lesie słodził.
Nie było rady. Grzech! Więc: — Łęsz,
alboś kradi! — w kruchcie rozgrzeszał dobrodziej.

4

Mnie pozostały gesi. Gesi — piękny plak.
Na fujarce z wierzbiny wiosna mi grała.
Lubiłem zjadać w ogrodzie zielony mak.
Hej, kwitła makami Krepa cała!
Hej, porcieta miałem! Uszyła matka jak mogła.
Wiatr je wydymał w polu i brał mnie w pół.
Patrzyłem zaczajony nieraz zza węgla
Jak hrabicz z Czapel powozem jeździł do szkół.
Lecz nie do gesi mi było. Horoskop? — Śmiech!
Wojna stronami już szła. Mnie hrabicz w głowie siedział.
Kapała szaruga z brodatych chłopskich strzech
i uragała kwasnej jak żur jałowy biedzie.
Mnie się marzyło nie wiadomo co.
Jak sny dziecięce w ciasnej chałupie spamiętasz?
Widziałem szkoły, złote palace za mgłą
i powiedziałem ojcu: — kup mi elementarz.
Sąsiedzi pokiwali głowami. — Zgłupiał brzdąk!
Jakże się chłopu mierzyć z hrabią?
Za brzuch się trzymał krzesny, śmiał się ksiądz.
Kto we żniwa ojcu pole zagrabił?
Hej, gesi białopióre, siodlate gaski!
Na murawie widzę wasz niezgrabny plas.
Zegnajcie! Ja wolę książki.
Ojcu ze szczęścia drgał bujny wąs.

5

Elementarz był szary. Mnóstwo znaków, liter.
Jakieś dziwaczne zwierzę — niewiadomo skąd?
— Chciałeś, ucz się! — rzekł ojciec. A tu ani w zab!
Nie polapiesz się w gąszczu liter czarno bitych.
Ojciec dukał z mozołem godzinę czy dwie:
— wykuj, dziecko na pamięć z tej pierwszej stronnicy.
Tu masz literę A, tu literę Z
i „skazówkę“ ze słomy dał mi do prawicy.
Wyszedł drwa łupać. Zostałem z tym zwierzem
jak w gęstym lesie nocą, sam na sam.
Wirowały i wylały w białym papierze
rozrzucone mą trwogą widma czarnych plam.
Taniec potworków. Z książki wiało czarnym szumem.
Runął na moją głowę zwierząt głuchy ryk.
Nie umiałem rozpoznać liter czarnych tłumów...
...W potoku lez gorących elementarz znikł.

Hrabicz powozem — do szkół... Mnie dławilo łkanie.
Tak odbyło się z książką me pierwsze spotkanie.

7

Teraz ma jasną szkołę każdy chłopski syn.
Nie straszy go alfabet. Z kolorowej książki
Śmieją się znaki liter. Nie huczy w głowie młyn.
Dziewczynki idą rano ubrane we wstążki.
Nie bat fornałski chłopiec ma. A los
jego już innym dziś toczy się torem.
Rośnie w wiedzę jak w ziarno wybujały kłos,
drze ugory żelaznym traktorem.

Traktor moją opowieść odsunął już w baśń
jak o wiedźmie, co dzieci rzuca w piec chlebowy.
A to prawda była. Dziś inna już prawda. Więc dość
o dzieciństwie przebrzmiałym rozmowy!
Nie puszczaj, przyjacielu, traktora ze swych rąk.
Niech grzmi na wspólnym polu wraz ze śpiewem ptaka,
by syn twój ojczystych już liter się nie zląkł
i nad książką w dzieciństwie tak jak ja nie płakał.

TADEUSZ SZEWEA

Tarnobrzeg pisze nową historię

List znad Wisły i Sanu

Tarnobrzeg — małe miasteczko, malowniczo położone nad brzegiem Wisły... Kiedy się tu przyjeżdża po latach nieobecności, zagłada w znajome kąty, błazni wąskimi uliczkami Dzikowa, minione dzieje tego miasteczka i jego historia staje przed oczyma jak żywa. Lecz nie tylko ten, kto spędził tu dzieciństwo — każdy przybysz powinien poznać historię miasta. Mieści się w niej, jak w miniaturze, niemający szmat dziejów Polski. I jeśli by je kto odczytał — stwierdził, iż nie Tarnobrzeg miał kiedyś swą historię, lecz hrabia Tarnowski, pan na Tarnobrzegu i Dzikowie.

Jak daleko sięgnąć pamięcią w dzieje Tarnobrzega, to Tarnowski byli tu przysłówiową „alfą i omegą“. O nich głównie mówili ludzie w miasteczku, a i dziś niektórzy często wspominają „starszego hrabiego“. Hrabia dał początek oświacie w ostatnich latach XIX wieku, kiedy to tylko jeden chłop z całego Dzikowa, mieszkający na przysiółku Podłęże — Franciszek Słomka — umiał czytać i pisać... Hrabia ufundował szpital, w kościele O.O. Dominikanów z tego tytułu znajdowało się tam wiele tablic pamiątkowych... Mieli tu również Tarnowsky swe grobowce, przed którymi raz w roku w Zaduszki mogli się pomodlić „wdzięczni“ i „wierni“ tarnobrzeżanie... Nawet szkoła i gimnazjum nosiły imię hetmana Tarnowskiego.

Nas najmłodszych także interesowali Tarnowsky. Słuchaliśmy przeto z ciekawością opowiadań kolegi Jaska, którego ojciec był lokajem w „Zamku“. Były to opowiadania o starym Tarnowskim — zdiwaczałym astmatyku. Oto stetryczały hrabia przypomina sobie polowania w Zwierzynie. Rozkazywał ubierać się w niedźwiedzią skórę swemu lokajowi i do skaczącego po pałacowych pokojach niby małpa na rączkach delikwenta, strzelał z laski — czasem i z dubeltówki. Albo znów w napadzie astmy i złości, kazał przeprowadzić o północy najlepszego, cugowego araba do sypialni. Konie miały przygotowane specjalne torbki, by nie brudzić dywanów.

Takie i podobne ciekawostki przeszcazyła się przez mury pałacowe, do miasta, budziły sensację i ześrodkowywały rozmowy wokół ośm. hr. Tarnowskich.

wał młodzieży rękopis. Nikt nie miał prawa się zbliżyć.

W parku pałacowym owszem odbywały się festyny, ogniska harcerskie. Lecz nawet najbardziej poborne mieszkanki miasteczka nie wiedziały, na którym to drzewie objawiła się Matka Boska Dzikowska, „staremu“ Tarnowskiemu, choć głosiły, że rośnie tam południowe drzewo, z którego splecione Chrystusową koroną. Dziś „drzewo cieniowe“ oznaczone jest tabliczką, określającą jego pochodzenie gatunkowe i nazwę.

Tarnowski... W jego „Zamku“, z jego niejako poręki nadawał w roku 1929 prezydent Mościcki Janowi Słomce odznaczenie za to, że uczył chłopów Dzikowa kapitalizmu... „Przez 30 lat cegielnia była ciągle w ruchu... razem wypaliło się przynajmniej 5 milionów cegły. Na tysiącu cegły miałem zarobek 5 złr, w czym mieściło się już wynagrodzenie za glinę. Rocznie więc miałem dochodu przeciętnie 750 złr, a w ciągu 30 lat cegielnia przyniosła mi przeszło 20.000 złr dochodu. Jednak nie tylko ja zyskałem, ale także dałem ludziom zarobek... W cegielni pracowało stale 8 robotników...“ — pisał w swych pamiętnikach Jan Słomka, wójt Dzikowa. Stary Słomka zaawansował na sąsiada pana hrabiego, bo był „pracowity“ a bogaty, ale czas przesuwał okopy wiejskiej reakcji, synów jego trzymał do chrztu już sam Dmowski. Tylko, że takich, „piastowych“ a bogatych, było niewiele w Dzikowie. Większość to właśnie ci wyrobnicy, u Słomków i robotnicy folwarczni za 90, a nawet i 60 groszy dziennie, robotnicy tarnobrzeżskiego przemysłu — browaru, gorzelni i wytwórni wódek.

Młody Tarnowski reprezentował także powiat na sejmie. Bóg raczy wiedzieć, kto go wybrał na posła broniącego nie miasteczkowych i nie chłopskich, a własnych interesów. Do dziś niektórzy pamiętają i mówią o umorzeniu hrabiemu przed wojną podaku, który sięgał astronomicznej cyfry, oczywiście, przez tych, z którymi zasiadał w sejmie. Lecz to nie przeszkadzało, iż ten sam Tarnowski w przeddzień II-jej

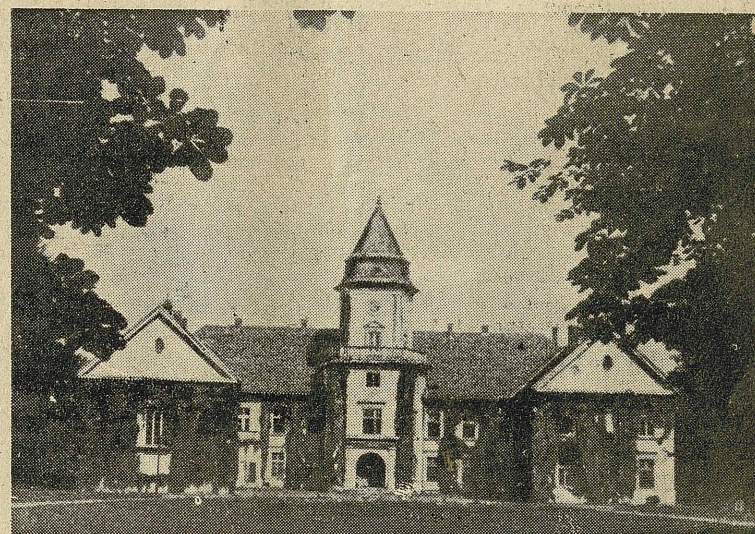
sandomierskiej. Pozostali na razie, ale nie na zawsze.

Już bowiem w latach, kiedy Tarnowski dyktowali miastu warunki życia, wyrwali się ludzie do fabryk Stalowej Woli i Dęby. W okrzykanej — komunistycznej — wsi Skowierzynie mieszkali wówczas nie tylko Gębala, chłopski pisarz radykalny. Z tej nowej gromady wyszli do nowej Polski chłop — murarze, — rekordziści i przodownicy, Krajewski, Madej, Siembida. Budują Warszawę, Nową Hutę, budują nowe socjalistyczne miasto w Stalowej Woli.

Staby był proletariar fabryczny w latach, kiedy historię Tarnobrzega wyznaczyli Tarnowsky z Dzikowa. Ale rósł w okolicy radykalny ruch ludowy, głośnym echem odbijały się

na Gębali, w gromadzie, skąd wyszli chłopci murarze, „wyscigowcy“ i „tygrysy“, budujący Muranów w Warszawie i Dom PZPR w Lublinie. Spółdzielnia boryka się z trudnościami, czasem i gospodarka nie idzie należycie, ogłada się spółdzielcy na pomoc „SP“ lub urzędników z miasta. Wielu członków kolektywu pozostawiało ziemię i urzęduje w miasteczkach okolicznych. A kułacy tymczasem ją atakują, odciągają od spółdzielczości — zdeorientowanych biedniaków ze wsi sąsiednich, że ci wolą pójść do miasta za pracą, niż myśleć o gospodarce; „jak powstała spółdzielnia, ziemia wtedy też ich nie będzie.“

W mieście jeszcze kwitnie drobno-mieszczański handelek, docierają na rynek towary wraz z handlarzami obcuznymi towarami z łódzkimi PDT-ów, czasem niestety i spółdzielca „zapłacze się“ na jar-



na powiat chłopskie bunt i strajki. Szły one właśnie ze Skowierzyna, Stalów, Mokrzyszowa, Jeziora, Zupawy, wsi biedniackich, piaseczyńskich, wyrobniczych. Jakże często w latach mego dzieciństwa roły się uliczki nadwiślańskiego miasteczka, granatowymi mundurami „malowanych“ chłopów z policyjnej szkoły. Mówiło się wówczas, że chłopci chcą iść na miasto panów rznąć. A drżał tylko... Tarnowski.

Przychodzi do nas często ze Stalów chłopka Bałacina. Opowiadała o swej biedzie, o paromorgowej gospodarce na piachach. Ale od Zielonych Świąt upłynęło dwa miesiące jak dopiero pokazała się znów zmierzowana Bałacina, by z dumą oświadczyć — „com dostała, com przesiedziała to im zapamiętam. Aleśmy naszych chłopów nie pozwolili zabrać do więzienia...“ Głosne było wystąpienie stalowskich kobiet, broniących przed granatową policją swych mężów — chłopskich „buntowczyków.“

*

Dziś w zapadłym miasteczku wyrasta stopniowo klasa robotnicza. Nie można o niej jeszcze mówić i pisać tak, jak o bohaterskim proletariacie Łodzi, Warszawy, Nowej Huty. Tu dopiero się ona formuje, niejednokrotnie z dawnych fornał i służby Tarnowskiego, przyzwyczajonej do kradzieży „pańskiego“, z Dzikowian, przyspiewujących w młodości na weselach zapytany głosem: — „hej, dzielni Dzikowianie, hej wisi nóż na ścianie, hej niech się kto podwinie, hej zdrowo nim dostanie“... Formuje się z dawnych bezrobotnych wydrwigrosów jarmarcznych, wyspiewujących na całe gardło za czasów Tarnowskiego: — „Hej, dzielni Dzikowianie, hej pod góręczką byli, a już się Machowianie, hej po wychodkach kryli“... Formuje się ze strajkujących i wiecujących przed wojną biednych chłopów.

Młoda jest ta klasa, niedoświadczona, a nieraz i mało świadoma, lecz mimo to porwijająca w swoich wystąpieniach. Ci ludzie przeciętnie dźwignęli ze zniszczeń wojennych własnymi rękami dwie fabryki — włókienniczą, gdzie produkuje się piękne tkaniny eksportowe i zakłady wyrobu pasty do butów oraz świec. A byli też wśród tych nowych budowniczych starsi robotnicy z okresu „państwowo-twórczego“ COP-u...

Rośnie klasa robotnicza i tu w zapadłym miasteczku. Przyszła ona w samą parę, bo najbardziej radykalnemu ruchowi ludowemu w latach sprzed drugiej wojny, zabrała zaraz po wyzwoleniu szerszego oddechu. Załamał się nieco, gdy znikł nagle z powierzchni i z historii wróg — Tarnowski. Ale walka klasowa nie ustala. I oto ta młoda, krzepnąca klasa robotnicza Tarnobrzega stanęła w tej walce po stronie małych i średniorolnych chłopów. I pomaga im jak może. A żadne strony tak nie wołają o pomoc polityczną, jak właśnie te „ludowcowe“, ale przetrarte agitacją „działaczy-przedsiębiorców“, jak Słomka i Magryś.

Powstała w okolicach Tarnobrzega pierwsza spółdzielnia produkcyjna. Powstała właśnie we wsi Stefa-

mark z koszykiem jajek i masłem, a zapytany, odpowie rezolutnie: „o żniwa nie ma zmartwienia. Przyjadą urzędniki z Tarnobrzega, to i zbiorą zboże“...

Ale przy tym wszystkim widać niesłychany wzrost sił wytwórczych. Są dwie fabryki, jest państwowy browar i państwowa gorzelnia. W pałacu uczy się młodzież chłopstwa rolnictwa. I młodzi chłopcy nie o własnych myślą bogatych gospodarzach, lecz o przebudowie rodzinnych wsi. O tym właśnie rozprawiali przodownicy i uczniowie liceum z goszczącymi u nich Ministrem Rolnictwa, Dąb-Kociółem. Rośnie nowe pokolenie gospodarzy wsi tarnobrzeżskiej... Uczy się młodzież z miasta i wsi aż w trzech gimnazjach — ogólnokształcących, krawieckim i rolniczym. Uczy się i na trzech kursach. Oto w bazie remontu obrabiarek szkoła się kadry przyszłych mechaników. A miasto tymczasem, choć wolno, ale rośnie. Odbudowano gmach Powiatowej Rady Narodowej (dawnego starostwa), wybudowano biura PZUW, sklepy spółdzielcze, rozbudowuje się Szpital Powiatowy, jest przedszkole, ośrodek zdrowia, remontuje się drogi...

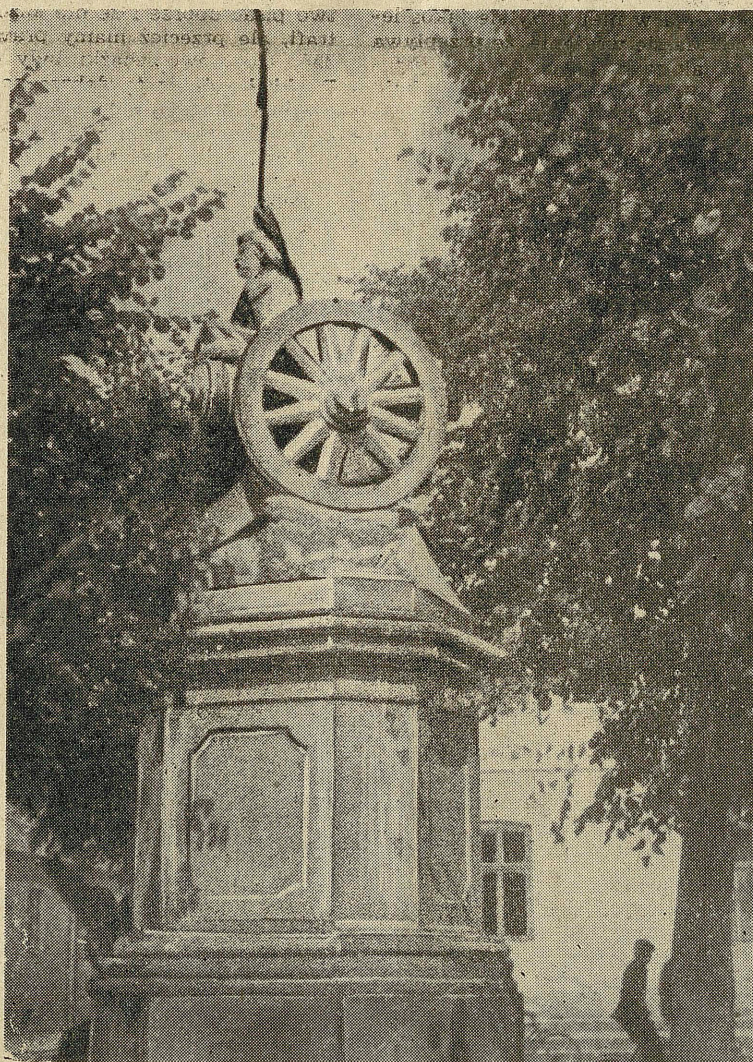
Pisze Tarnobrzeg nową historię. Rękami chłopów przeprowadzających meliorację 150 hektarów pól ornych, odnawiających 10,540 m rowów odwadniających łąki. Pisze ją rękami klasy robotniczej z nowych fabryk nad brzegiem Wisły, rękami przodowników ze Stalowej Woli — Dąbka, Dula, Łacha.

To trzeba dostrzec w Tarnobrzegu. Nie braki i nie słabość jeszcze nieokrzepłej klasy robotniczej, ale to, że jednak powoli zaczyna czuć się gospodarzem miasta, zaczyna mówić z dumą o pierwszych „naszych“ fabrykach.

Po sześciu latach mieszkańcy Tarnobrzega i przybysz — spędzający dzieciństwo w małym, nadwiślańskim miasteczku, bilansują rozwój sił wytwórczych i rozwój kulturalny miasta. — „Znikają ślady wojennej okupacji i zaciera się w pamięci, zwłaszcza młodzieży, okres Polski kapitalistycznej“ — pisał minister Szyr. Skoro mieszkańcy Tarnobrzega dobrze rozumieją jak wiele wysiłku kosztowała nas odbudowa kraju, trzeba aby jeszcze bardziej rozumieli trud i sens socjalistycznego budownictwa.

Dwie nowe fabryki w Tarnobrzegu, zbudowane rękami dawnych fornał Tarnowskiego, rękami okolicznej biedoty chłopskiej, oznaczają niewątpliwie niespotykany dotąd w cichym miasteczku wzrost bazy. Lecz bazę też może chronić, należyście wykorzystywać i poszerzać świadomości politycznej robotnik. Fornal z Dzikowa, chłop z pobliskiej wsi, dawny chałupnik — cała ta nowa formująca się klasa robotnicza, pozbawiona częściowo tradycji, powoli dorabia się świadomości przodowników w przebudowie miasteczka i okolicy. Dlatego szczególnie mocno sprawdza się w Tarnobrzegu służność i konieczność realizacji hasła VI Plenum Partii: jeszcze usilniej przekonywać, uczyć i budzić świadomość polityczną!

Tadeusz Szewea



Pomnik Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu.

Ze szczególną chłonnością właściwą dzieciom, słuchaliśmy tych historyjek. Wiedzieliśmy, że któregoś dnia — jak dorosłoni — i będziemy uczniami czwartej klasy gimnazjalnej, pójdziemy z wycieczką do „Zamku“, i zobaczymy to wszystko, co było otoczone legendą dziwności. Obejrzymy z bliska salę rycerską, siodło ks. Józefa Poniatowskiego, muzealnej wartości obrazy i rękopis „Pana Tadeusza“, „Upomuszczenia“ Tarnowskich w ten sposób kulturę narodową, konkurując jednocześnie pod tym względem z pobliskim Sandomierzem. Tylko, że w Sandomierzu mogli wszyscy zwiedzać zabytki i muzea; do „Zamku“ zaś mieli wstęp tylko uprzywilejowani. Do nich należała starsza młodzież gimnazjalna. Raz w roku, zwiedzając niektóre komnaty „Zamkowe“ dostępowala zasztytu oglądania rękopisu Mickiewicza.

Odbywało się to ze szczególnymi ceremoniami. Artur Tarnowski — syn — przyszły spadkobierca dóbr, otwierał ogniotrwałą kasę, wyjmował klucze, potem otwierał skrytkę, wydobywając z niej szkatule. Te, z kolei, odmykał stary Tarnowski i z odległości paru metrów pokazy-

wojny światowej mógł i potrafił odmówić oddania pastwisk i łąk pod wojskowe lotnisko.

Już wówczas obnażało się oblicze międzynarodowych zdrajców, których „Zamek“ miał szeroko otworzyć podwoje dla generałów hitlerowskich, maszerujących na wschód, by zniszczyć komunizm. Nie zabraniono ani pani hrabinie, ani hrabiance Siemińskiej grać z Reichem, faszystowskim żołdakiem, w tennis lub jeździć konno. Oto ci sami Tarnowsky, którzy uciekając przed rewolucją ludową, przed Nową Polską, zabrali ze sobą wszelkie przepisy na produkcję wódek dzikowskich i, jak fama głosi, sprzedali je obecnemu, amerykańskiemu kapitalizmowi nawet wraz z budynkami przetwórci, które zostały tu — u nas — w Polsce Ludowej!

Zamknęła się za Tarnowskimi ostatnia karta ich historii. Ale pozostało jeszcze po nich zdeorganizowane, życie, zdeorientowani politycznie chłopci, pozostali spotęgowane przez Tarnowskich tradycje kułackie z taką pieczołowitością, kulturowane w pamiętnikach Słomki i Kurasy, konkurujących o wiślaną międzę z bogatymi chłopami ziemi

KAZIMIERZ DĘBNICKI

SPRAWA NAKWASKIEGO

„Sprawa Nawkaskiego” to opowiadanie z frontu czułości. Najniebezpieczniejszy wróg, z którym mamy od czynienia w walce o Plan 6-letni — to wróg przychający w aparacie administracyjnym i gospodarczym — wróg okopany na biurokratycznych pozycjach, maskujący się perfidnie sztydem władzy ludowej. Stępa on oręż walki klasowej i obraca nieraz przeciw masom pracującym, wypacza celowo linię partii, niweczy twórczą inicjatywę mas, hamuje marsz do socjalizmu.

W demaskowaniu i zwalczaniu takiego wroga nieocenioną pomoc oddaje nam spojrzenie wstecz, analiza jego przeszłości, jego zachowania w czasie okupacji.

W historii Nawkaskiego pokazane zostały dzieje brudnej kariery zaczętej w okresie wojny przez kolaborację z faszystami, spekulację i grabież.

Te brudne kariery z czasów okupacji usiłovali ludzie typu Nawkaskiego kontynuować w Polsce Ludowej, zmieniając oportunistycznie piórka. Maskując sztydnie gorliwość, nadskakiwaniem i podłym listostwem swe wrocie oblicze, nie szczędili wysiłków by wcisnąć się do aparatu państwowego, a nawet partyjnego.

Tam, gdzie im się to udało na skutek braku dostatecznej czułości, wyrządzali ogromne szkody.

Z wrogami tymi obowiązuje nas twarda walka na trudnym, wewnętrznym froncie.

Śmiała krytyka — to potężny oręż w tej walce.

REDAKCJA

Nawkaski pracował w Landwirtschaftliche Zentralstelle sporego miasta powiatowego, któremu okupant wyrządził afront odzierając wojewódzkie honory i ustanawiając siedzibę dystryktu tam, gdzie gestapo i inne władze miały lepsze warunki lokalowe. Nawkaskiemu ta degradacja rodzinnego miasta nie przeszkadzała. Chociaż hitlerowcy byli zdemoralizowani łapownictwem i łatwymi zarobkami — zawsze lepiej mieć zwierzczenie władze niż nad karkiem, a nieco dalej. Nie dla ich surowej uczciwości, a dla sprawy samych zarobków. Im więcej wspólników — tym zarobki mniejsze. Pod tym względem Nawkaski był bezapelacyjnym zwolennikiem koncentracji kapitału. Podobnie jak jego Niemiec. Jako że miał „swojego” Niemca, grubego kierownika Landwirtschaftliche Zentralstelle, Friedricha Schupke.

Z Schupke Nawkaski żył dobrze. To znaczy robił kandy na własną odpowiedzialność, a Schupke brał połowę dochodu. Płynęły więc bezgusneiny na naftę, spirytus, nawozy, sacharynę, paszę, narzędzia i wszystko w ogóle co znajdowało się w zakresie wpływów i decyzji Nawkaskiego. Małych interesów nie lubił. Detal — to zabawa dla drobiazgowych urzędników. Nawkaski miał gest. Toteż w Landwirtschaftliche Zentralstelle panował wieczny ruch. Pod starymi arkuszami biskupiego pałacu, w którym umieszcili Schupke swój urząd — kregili się co bogatsi właściciele tartaków, warsztatów i fabryczek, sklepikarzy i hurtowni, bogaci chłopcy i młynarze, właściciele ziemscy i kierownicy Liegenschaftów.

„Elita” — uśmiechał się Nawkaski.

„Dobry Polak ten Nawkaski” — głosili klienci.

SZCZYT MARZEN

Życie, jak z tego widać, obfitowało w uroki i Nawkaski umiał je wykorzystywać. Gdzieś w 1943 roku latem skończył budowę ładnej willi za miastem, w piwnicy zamieszkał rozłożony na części samochod — prezent wielkocenny Fryca Schupke; nakupił mebli, porzucił firanki i obrzy, skądś nawet wytrzasnął dywan. Czytował, dostarczano mu regularnie „Szaniec”, potem rzucił się na lekturę pism A. K., nawiązał jakieś kontakty poprzez klientów, dźwigających na swych barkach „zaszczyty” obowiązków inspektorów, podinspektorów, komendantów placówek, łączników i delegatów... Rozmawiał z niektórymi przyszołym głosem, wskazywał dramatycznym ruchem na drzwi Schupke, coś brał, coś dawał, coś obiecywał, czegoś żądał i tak stał się urzędowym niemal reprezentantem Polski Podziemnej. A kiedy ktoś zbyt zapalczywy zagadywał o Schupke, o wspólne gospodarstwo i wspólne interesy, najpierw zapewniał, że Schupke to jest taki „dobry Niemiec”, a potem czynił wymowny ruch ręką na zachód i szeptał:

„Jak tamci przyjdą to...” dłoń na płask przejechał po gardle, zezując jednocześnie w tym kierunku, gdzie w danej chwili przebywał jego zwiercznik.

Jak kto zaś chciał dalej prowadzić indagację w sprawie Nawkaskiego — Schupke, gdzieś w inspektoracie, czy komendzie obszar zbywano niecierpliwą krótko:

„Taktyka!” I byłoby wszystko w najlepszym porządku, gdyby nie nagłe zoologiczne pragnienia Nawkaskiego. Dom — to dom, ogródek — ogródek, ale Nawkaskiemu zachciało się bagatelki — krowy. Ładne, duże, mleczne, o oczach z aksamitu, przypominającej kelnierkę u Zaparta. Zwierzył się z tego Schupkem.

„Du bist verrückt, mein lieber Nawkaski, po cholere ci krowa?” Nawkaski zaś tam tłumaczył zawile i metnie. Schupke machnął ręką i zdawało się zapominał o sprawie. Ale nie. Po tygodniu zawałał urzędowo Nawkaskiego do gabinetu.

„To jest wójt z Suchedniowa, verstanden? Cn ci robi krowę, rozumiesz?” — pokazał ręką na łysawego, pomarszczonego człowieka o chytłych, szarych oczkach.

„On ci robi krowę, fertig, ab!” — powiedział urzędowo.

Krowa rzeczywiście istniała. Wymarzona, mleczna, oczy — aksamit, sierść — plusz, andaluzyjskie krów-

sko. Cud natury. Miała jedną wadę. Właściciela. Właściciel był wariat, znany i ceniony, suchedniowski wariat, popularnie zwany „głupim Adamem”. Adam miał że 60 lat, na sobie dźwigał wieloletnią warstwę brudu, a spod strzępiastych włosów wyrywał mu się stale głupek pojęk... eee, eee, eee... Był to błąd nad błąd, gnieździł się gdzieś w jakiejś zawieszony ruderze i jedyną bogactwem nieszczęśliwca stanowiła dorodna „Łaciata”.



Zbliżał się dzień spędu bydła. Od rana pod gminą w palącym słońcu tłoczyli się ludzie, na łące ryczały krowy, wzdłuż drogi stali spoceni żandarmi w zielonych mundurach. Meżczyźni kleli po cichu i z rozumą, kobiety w czarnych i czerwonych zapaskach żegnały się znakami krzyża, dzieciaki beczali, żandarmi porykiwali od czasu do czasu do wóru wylekłym bydłem.

Gdy już odwołano większą część roboty i słońce stoczyło się nad królewskie lasy — wójt pognał dokądkas na rowerze, przejechał kładkę na rzecze, zostawił rower na łące i poszedł szukać „głupiego Adama”. Znalazł go pod krzakami leszczyny, jęczącego swoje eee, eee, eee... „Łaciata” zarla z królewską obojętnością trawę, wójt drapał się w głowie, Adam patrzył przerażonym, obłąkanym wzrokiem. Potem wójt wcisnął starym parę złotych w garść, powiedział dobitnie:

„Sprzedajesz krowę, rozumiesz Adam, na spę? Niemcom?” Adam pokławił głową, wyjechał przeciągle eee, eee, ee, coś chciał powiedzieć, nie umiał, zabelkotał tylko, pochylił się do wójtowej ręki...

„Nie dziękuj, nie dziękuj... Chociaż tak, to by ci to zabrali za darmo...” zachnął się wójt, pociągnął „Łaciata” za postronkę i przyprowadził Nawkaskiemu.

ZŁA PASSA

Nie miał szczęścia Nawkaski do „Łaciaty”. Nie chciała nic zred. Chudła w zastraszającym tempie, ledwo nogami wyczołgała, straciła mleko, sierść jej skotniała, o czyste straciła aksamitną miękkość i blask. Wreszcie któregoś dnia zdechła.

Nawkaski stracił humor.

Był to jednak dopiero początek nieszczęść. Bowiem „parę tygodni później” chłopcy z lasu w fatalny sposób zbili mordę wójtowi, nie kryjąc, że w ten sposób pokrywają jedynie część rachunku, jaki ma wiodarż gminy spłacić „staremu” „głupiemu Adamowi”.

Wójt pojechał natychmiast do Nawkaskiego i dramatycznym gestem prezentując swe ciętne obrażenia wyzywał go do działania.

„Widzisz pan oni rzeczywiście PPR-y, komuniści znaczy się. Znowuż mnie wczoraj naszli. Pod Łączną pociąg wysadzili, Niemców potukili, no i tak mimochodem...”

„Coś takiego!” Nawkaski sapnął, jakby chciał przedwać, ale wójt rozgadał się na dobre.

„Oni u nas, powiadają, niedawno. Jeszcze się nie rozejrzeli. Ale jak się rozejrzę, to te wszystkie sprawy, interesy znaczy się handlowe, przepatrzą i co, powiadają świąstew pachnie, albo niemiecką spółką — to porządek z tym zrobą...”

„Porządek zrobą!” — Nawkaski podrapiał do okna i znowu podle-

ciał do wójt. — „Niech lepiej nosa pilnują, bo ja też mogę porządek zrobić. Do inspektora jeszcze raz pójdę, a nie pomoże, załatwimy inaczej. Niech no — by się Niemcy dowiedzieli co to za jedni. No, no — Niemcy wprawdzie wróg — ale w obronie, rozumiesz pan, panie wójt, europejskiej kultury...”

Wójt czoło pomarszczył. Wtrącił: „Niby o krowę i w ogóle takie sprawy chodzi — nie zaś o kulturę. Oni nam mogą dać po dupie za te kradzieże lasu, coś tam mówili, że to niby polski skarb, albo za jakieś bezgusneiny co to do ludzi nie dochodzą. Też mówili. Ale o kulturę to mowy nie było, panie Nawkaski...”

„Głupis pan. O kulturę też chodzi, europejską. Żeby przed bolszewikami bronić!”

Wójt bardzo smutnie potakiwał i mimo bohaterskiego tonu Nawkaskiego, coś jakby niewiara zasnęło w oczach. Miał pewne powody, by Nawkaskiemu zbytnio nie dowierzać. Spuścił więc oczy, bo ten brak zaufania z nieczystego wójtowego sumienia się wywodził, o czym Nawkaski nie powinien się być dowiedzieć. Poprzedniego dnia — ci z lasu, po rozbiciu niemieckiego transportu, w czasie rozmowy z wójtem poprosili o „małe” wyjaśnienie.

„Komusie to „Łaciata” dali?”

„Łaciata” zdechła... — ni to z ubolewaniem, ni z triumfem powie-

dział wójt.

„Zdechła? A u kogo ona zdechła?”

„W mieście...”

„U Nawkaskiego, tego z Centrali.”

„Jakiej znowu centrali, człowieku, mówię jasno...”

„Z Landwirtschaftliche...”

„A, stamtąd. No, dobra. Bywajcie wójt!” — i poszli.

A wójt stał teraz naprzeciw Nawkaskiego i myślał: dadzą mu w dupę czy nie dadzą?

Mieliby tylko bić w dupę skromnego wójt. A jak Nawkaski się dowie na przykład, że on wójt — wygada? Krewa.

Długo nie czekał. Tegoż wieczora do Nawkaskiego przysli trzy mężczyźni. Był sam. I dostał lanie — setne lanie. Takie, że go nawet głowa boleć przestała, ale usiąść nie mógł.

„A żebyś wiedział kto cię bił — tłumaczył wysoki, blondyn, usłyszawszy groźne zapowiedzi Nawkaskiego, że on ten niestychany, bandycki napad ukarze poprzez inspektora, ba, komendę obszar nawet — to ci powiem. AL cię biła. Za krowę, za rabunek, za tą twoją spółkę z hitlerowcami. Pewnie już przez tę spółkę miednego skrzywdziłeś...”

Swoje Nawkaski dostał, a jeszcze musiał do Suchedniowa jechać „głupiego Adama” odszukać i tak niby ni z tego ni z owego, wpakować mu w „kieszeń” grubszą gotówkę.

„Żebyś zdechł, żebyś się udławił!” — myślał, suwając językiem po zacienionych zębach, gdy słuchał zdziwionego bełkotu starca. Wprawdzie w niektórych kołach rodzinnego miasta zaczął Nawkaski uchodzić za bohatera „patriotycznego” podziemia, ofiarę komunistczego zamachu, wprawdzie taka wersja przyjęła się wśród koryfeuszów Delegatury i powiatowych strategów z AK, wprawdzie nawet, dzięki propagandowej akcji Schupkego — uśmiechnął się do Nawkaskiego u Zaparta sam szef Gestapo — ale czarna seria nieszczęść zaczęła spadać na przedsiębiorczego handlowca.

Po krowie stracił Schupkego. Złota, polska jesienią, opromieniona wieściami z frontu — Schupke wyjechał. Nawkaski, od chwili gdy Schupke otrzymał wezwanie do wojska — czuł się osierocony, oszukany przez los, po prostu nabyty w butelkę. Świat bez Schupkego zionął beznadziejnie, zaskakiwał groźnymi niespodziankami.

Na domiar nieszczęścia przybył nowy szef, który nie odnowił handlarskiej spółki z Nawkaskim.

PRZYPADEK

Pozycję Nawkaskiego uratował przypadek. Nie było nim oczywiście zawarte wiosną 1944 roku małżeństwo z ową zapartowską kelnierką o aksamitnych, krowich oczach. Nad nim przeszedł Nawkaski szybko do porządku dziennego.

Przypadek nadszedł w sierpniu 1944. Właśnie Nawkaski po jakiejś politycznej rozmowie strapiiony rozmyślał nad perspektywami radzieckiej ofensywy i dochodził do wniosku, że jego rachuby zawiodą, że cały ten londyński interes bierze w w łeb — gdy zatrzymało go koło Dworca Kolejowego — głośno „Halt!” Łapanka. Gestapowcy i żandarmi byli nieutępi, nie pomogli więc ani Nawkaskiego prośby, ani powołanie się na szerokie znajomości, ani opatrzone dziesiątkami pieczęci dokumenty. W tłumie przerażonych ludzi zawędrował Nawkaski do Arbeitsamt, gdzie uznano go za zdolnego do pracy fizycznej i przeznaczono do transportu. Próbował przekonać szefa Arbeitsamt, który na nieszczęście a może na szczęście Nawkaskiego urzędował tak niedawno, że nie znał jeszcze miejskiego patryjatu. Niemiec spojrzał spod oka, ujął za słuchawkę, połączył się z nowym szefem Nawkaskiego i gdy usłyszał po tamtej stronie przewodu lakoniczne:

„Nie jest mi potrzebny. Na okopy? Niedaleko? Dobrze. Niech jedzie...” wrzasnął na Nawkaskiego: „Raus! Willst du nicht arbeiten, was?” Nawkaski cofnął się szybko, zamruzczał, machinalnie przetarł szklę, pogmerał prawą ręką w kieszeni i już

był cichy, bezradny, po prostu, myślałbyś — oferna. Z wagonu zdażył jeszcze krzyknąć zapłakanej żonie, żeby domu, cholera, pilnowała. Odjechał w nieznane. Pozostało po nim w kołach miejskich luminarzy, „działaczy” i „aktywistów” podziemia — opinia człowieka zdolnego, ruchliwego i ofiarnego. A na niej jak bluszcz na żywopłocie, narastała legenda narodowego męczennika. Przypadek.

...

A narodowy męczennik znalazł się tymczasem w Olesznie. Dziura to była bez najmniejszego komfortu, ale przypało jej odegrać w planach hitlerowskiego dowództwa rolę strategiczną. Tu bowiem miała przebiegać ważna linia fortyfikacyjna, z której potem na głos zaśmiewali się radzieccy żołnierze. Nawkaski przyglądał się temu wszystkiemu przez zasieki z drutów kolczastych, wzniezione pospiesznie wokół kilku stodół, w których trzymano 300 złapanych i odczuwał wyraźną niechęć do okolicy, Oleszna i siebie samego. Swoją dezaprobatą ogarnął i współwięźniów, którzy rozprostowawszy się nieco po łapance zaczęli regularnie wiać. Nocą i dniem, korzystając z lenistwa starych, bruchatych Niemców, którym brawozwo mundury SA nie dodawały wcale żołnierskiego animuszu. Był to ostatni rzut mobilizacyjny taborytów ciurów, którym Adolf Hitler powierzył obronę przedpola Rzeszy. Toteż pierwsze trzy dni zeszy wszystkim na generalnym nieróbstwie, przepłatanym zawiązywaniem intymnych stosunków z żeńską częścią obozu, której na razie nikt nie miał zamiaru izolować. Koedukacja była, można powiedzieć, wszechstronna. Nawkaski, który uzyskał funkcję obozowego tłumacza skorzystał z koedukacji w możliwie wyczerpujący sposób zaanektowawszy na swój wyłączny użytek krostową wołksdeutsche, która uważała się za coś nieznównie lepszego od reszty więźniów.

Wszem i wobec głosiła, że właśnie oddała papiery do rejestracji w dniu łapanki i że wszystko to jest poprostu idyotycznym nieporozumieniem. Ludzie omiiali dzwierzynę demonstracyjnie i Nawkaski mógł w ten sposób, okazując maksimum współczucia, zdobyć jej łaski i wszystko co się z nimi wiązało. Po trzech dniach, gdy w obozie pozostało już tylko około 100 osób nadjechał gestapo, stukło mordę kilku strażników, rozstrzelano dla przykładu paru więźniów i w obozie zaczęło się działać zdecydowanie źle. Skończyło się prowiantowanie we własnym zakresie, kontakt z ludnością urwał się zupełnie, a od świtu do wieczora trwała idyotyczna, beznadziejna harówka przy kopaniu rowów przeciwczołgowych, gniazd karabinów ppanc, pozycji czołgowych i artyleryjskich.

Jedynie Nawkaski i paru jeszcze podobnych żyło sobie względnie przyzwyczajone, jeżeli pominąć zawsze i brud. Przyszła jednak słotna jesień, a po niej mrozy i Nawkaski poczuł, że sytuacja nie jest najlepsza. Niemcy gnali Anglików i Amerykanów na Zachód, Rosjanie zaś nie tylko stali nad Wisłą, ale dawali



o sobie niemal codziennie znać dalekim dudnieniem dział i częstymi nalotami, które z nocnych przeszły w dzienne i trzymały wartowników w ciągłym napięciu.

„Trzeba wiać, co tu będziemy Niemcom groby kopać, niech sobie sami kopią!” — powiedział Nawkaskiemu młody, zielony od głodu i zimna chłopak.

Nawkaski wzruszył ramionami, odburknął, że jak kto chce droga wolna, ale on nie ma ochoty za inkasować ołowiu w czaskę. Chłopak zwał jednak tej samej nocy, a Nawkaskiemu uparte, natarczywe myśli zasnąć nie pozwalały.

Rano wstał z gotową decyzją, zapadła pewnie w niespokojnych, potliwych snach. Na swoją „volksdeutsche” przestał zwracać uwagę, pokreślił się za to koło najbardziej pyskłych obozowiczów, ponuchał tu, ponuchał tam, na żartobliwie do cinki pod adresem jego bogdanki odpowiadał poważnie: „ścierwo! Nie poznałem się na tej dziewczynie, myślałem, że ona tak dla żartu, ale nie, to proszę was, gestapowko, ścierwo!” Robił przytem minę wielce tajemniczą, jakby odkrywał świeżo zdobytą rewelację z nadrukami: „ściśle tajne!”

C. d. na str. 6



TADEUSZ ŚLUPECKI

O SIĘDMIU SZALONYCH SOŁTYSACH

Pewnego poranka przewodniczący powiatowej rady narodowej w Łosiowej Górze jechał służbowo w teren. Na kolanach miał teczkę z urzędowymi sprawozdaniami, na wargach półrzedowy uśmiech, a w sercu już całkiem prywatne uczucie beztroski. Przyjemnie jest jechać dobrym autem po asfaltowej szosie, w dodatku z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Po siedmiu miesiącach harówki znalazł wreszcie trochę czasu, aby wytknąć nos zza biurka. Jechał teraz na wieś pogadać z chłopami. Nietyle z potrzeby, ile dla uspokojenia sumienia. Żeby nikt nie powiedział, że się od chłopów odgradza...

Czerwcowe ciepło, wiaterek, słonko, zielone życie — ech nareszcie coś innego niż cztery ściany gabinetu.

Nagle, na trzecim kilometrze drogi, wypadła zza zakrętu gromada chłopów. Biegli przez całą szerokość szosy, wyrzucając nogi do przodu i po końsku potrząsając łbami. Szofef zaklął. Zahamował.

Przewodniczący wychylił się z auta, chcąc ich zbesztać za tarasowanie drogi — lecz głos utknął mu w krtani. Bo oto pierwszy z biegnących — wielki, zwalisty chłop, w którym poznał sołtysa z Kurzolatów — zarzął mu prosto w twarz. Szczęśliwie pozostałych zawtórowało równie potężnym rżeniem.

— Co to za jedni?... wyjąkał.

— To siedmiu szalonych sołtysów — odparł szofef, ziewając.

— Siedmiu szalonych sołtysów?... zadziwił się przewodniczący. Nie o nich nie wiem!... A cóż to takiego? Szofef pomyślał, że gdy spędza się 14 godzin przy biurku, to trudno jest coś wiedzieć.

— Zawracaj! krzyknął przewodniczący. Takie historie w moim powiecie... Muszę to wyjaśnić. Natychmiast! Zaraz w tej sprawie zadam sprawozdania...

I w ten sposób pierwsza inspekcja w terenie zakończyła się na trzecim kilometrze za Łosiową Górą. Kiedy odbędzie się następna — nie wiadomo. Bo przewodniczący zaczął znowu czytać protokoły i sprawozdania.

...

Historia z szalonymi sołtysami zaczęła się dość niewinnie. Pewnego dnia sekretarz gminnej rady narodowej w Gapowicach Wielkich wezwał do siebie sołtysów z siedmiu okolicznych gromad.

— Słuchajcie, chłopcy — zadudnił basem sekretarz, maleńki chuderlak w czeladeczkę. Ja was, hm, tego, w sprawie spędu hodowanego konia... Ogłosicie w gromadach, że za dwa tygodnie chłopcy mają się stawić w Łosiowej Górze. Z koniami. I wy też...

— Dobra jest, sekretarzu... zech, pewnie! sołtysi. Zrobi się.

W oznaczonym dniu chłopcy konie sprowadzili. Zjawili się też weterynarz. Wszystko odbyłoby się jak należy, gdyby komisja nie nawaliła. A bez komisji, wiadomo, nie odbyć się nie może. Więc chłopcy, klnc na zmierzony dzień, wracali do chałup z niczym. Z Łosiowej Góry do Gapowice było 26 kilometrów. A tu trza było koniska tuc tył kawał drogi po przynicy. I robota w domu stoł. Kogo serce nie zaboli?

Za drugim razem chłopcy przybyli równie licznie. Zebrali się komisja. Wszystko odbyłoby się jak należy, gdyby weterynarz nie nawalił. A wiadomo — na spędzie bez weterynarza, to jak na weselu bez panny młodej. Chłopcy kleli, aż się trzęsło. Znowu dymał z niczym do chałup.

Za trzecim razem wszystko odbyło się zgodnie z przepisami. Komisja tym razem była, weterynarz także. Nie było jedynie chłopów. Ot, po prostu zapomniano ich zawiadomić o zmianie terminu, bo weterynarz w oznaczonym czasie musiał jechać do Wrocławia i spę przesunął w ostatniej chwili na dzień wcześniej. Ale i tak się chłopcy szybko o tym dowiedzieli. Zaraz następnego dnia. Kiedy pokryte kurzem konie wprowadzali na plac targowy w Łosiowej Górze...

To też nie dziwnego, że gdy w tydzień po tym sekretarz gminnej rady w Gapowicach zaważał do siedmiu sołtysów z siedmiu gromad, ci — przybyli z ociąganiem i niechętnie.

— Słuchajcie, chłopcy... sekretarz zadudnił basem, którego używał tylko wtedy, gdy występował w urzędowym charakterze. Poza tym gadał płacizwie i przez nos. — Ja was, hm, tego, w sprawie szepcenia koni... Bo to, słyszaście, nosa, cizna. Ogłosicie w gromadach, że za pięć dni mają się stawić z koniami w Łosiowej Górze... I wy też.

— Łaboga, znowu!... stęknął sołtys z Kurzolatów. A czy to pan weterynarz nie mogliby przyjechać do nas? Ławiej jemu z tą strzykawką do Gluchowic, niżli nam pędzić

koniska do Łosiowej Góry, 26 kilometrów w te i 26 we wt!

— Racya! — poparło go sześciu pozostałych sołtysów. — Konie zmordujesz po przynicy, dzień jak nie zmierzysz. A tu w siedmiu gromadach do dwustu koni będzie.

Sekretarz gminy podrapał się po nosie.

— Nie labidźcie o byle co, bunt nie rzekł jeszcze wszystkiego. Na drugi dzień po zaszczepleniu macie przyjechać z koniami do Łosiowej Góry na obserwację. Niby, jak się to szepczonka przyjmuje...

— A, wierności! — kleli sołtysi. — To znaczy się, drugi dzień zmierzony?

Sekretarz pogrzebał w papierach na stole i zaczął jąkać przez nos:

— Ale to nie koniec... Taka szepczonka, to się lubi czasem nie przyjać... Dlatego na drugi dzień pojedziecie znowu do Łosiowej Góry. Aby dęktor mógł sprawdzić, czy się przyjęła...

— Czego?! wrzasnęli razem sołtysi. To znaczy się mamy stracić trzy razy po dwieście dni roboczych koniskich i tyleż naszych? Bo panu weterynarzowi przyszył tylek do stoika? Instruktorzy pyski strzępią, że niby nowe metody, że planowo, a wy o wyrabianie z koniskami.

— To wedle planu... jąkał sekretarz. Z powiatowej rady przysłali...

— Naród tera w Polsce wdział! krzyczeli chłopcy. Do samego ministra pojedźmy! A szkodzić gromadom nie damy!

Zrobił się tumult. Sołtys z Kurzolatów bił pięścią w papiery sekretarza. Pozostali wrzeszczeli, co ślina na język przyniosła. Niewiadomo, czym by się to dla sekretarza skończyło. Ale na szczęście szybko odnalazł wśród stołu leżących przed nim papierów jeszcze jeden i podniósł do góry. Sołtysi ucichli.

— A w trzy dni po szepczeniu, w Łosiowej Górze odbędzie się przegląd taboru... Wszystkich dwustu koni...

W zakłóceniu powietrza izby zawisła na chwilę niesamowita cisza, aż rozupało ją w uszach sekretarza końskie rżenie sołtysa z Kurzolatów! Za chwilę rzeli już sołtysi wszystkich siedmiu gromad gminy Gapowice Wielkie.

Jak stwierdzili lekarze i wezwany dodatkowo, jako koński specjalista, weterynarz, nieszczęśliwcy ulegli rzadkiemu w medycynie rodzajowi zbiorowego obędu.

Sołtysów opanowało t.zw. „końskie szaleństwo”. Biedakom wydaje się, że są nieszczęśliwymi kołymi, które co drugi dzień muszą pędzić 26 kilometrów tam i 26 kilometrów z powrotem na niekończące się nigdy spędu.

W dni parzyste zachowują się na ogół normalnie. Pracują na swych gospodarstwach. Wychodzą w pole. Oprzątają bydło. Nawet załatwiają interesantów. Ale w każdy dzień nieparzysty ogarnia ich dzwiny niepokój. — Zrywają się wtedy błądzi i nieprzytomni. Obuwają podtute żelaznymi podkowiakami buciory, wyrwają się pilnującym ich rodzinom i z głośnym rżeniem pędzą na szosę, a stąd — już całą gromadą do Łosiowej Góry! Na kolejny przegląd taboru...

Stan chorych — co tu ukrywać — jest bardzo ciężki. Jednak z uwagi na nieszkodliwość dla otoczenia pozostawiono ich w domu. Lekarze twierdzą, że nie ma najmniejszej nadziei na wyleczenie siedmiu szalonych sołtysów.

Jednak rodziny ich są innego zdania. Sądzą, że da się uratować nieszczęśliwców. Sądzą tak z dwóch powodów. Pierwszy — to fakt, że nawet w dniach napadu koniowskiego szaleństwa sołtysi wyrwają się stawiane przed nimi koryta z owsem i siewką, opychają się natomiast razowcem ze słoniną, co się koniom — jak świadcza najstarsi chłopcy — na ogół nie zdarza. Drugi — to nadzieja, że przewodniczącemu powiatowej rady narodowej w Łosiowej Górze znuży się kiedyś czytanie sprawozdań i wówczas, prawdopodobnie, zaprzagnie on dokończyć przerwaną w tak niefortunny sposób inspekcję w terenie. A potem zechce skończyć z „końską polityką” swych podwładnych...

W ten jedynie sposób siedmiu szalonych sołtysów, uwolnionych od zmory ciągłych koniskich (a także innych) spędów i przeglądów, mogłoby wrócić do zdrowia i — pracy w swoich gromadach.

Tak samo zapewne sądzą i czytelnicy.

Tym ostatnim autor winien jest maleńkie wyjaśnienie. Opowieść o siedmiu sołtysach nie została z

HELENA ZAWORSKA

SZLAKIEM POLSKICH „JAKOBINÓW”

Wybór tradycji narodowych, właściwa, klasowa ocena dorobku literackiego i kulturalnego, ukazanie rodowodu polskiej postępowej myśli społecznej i polskiego ruchu rewolucyjnego — oto zadania bez spełnienia których nie do pomyślenia jest tworzenie wartości i wytycznych rozwoju nowej kultury socjalistycznego narodu. Szerokie i planowe badania, jakie prowadzi się nad przewartościowaniem i właściwym ukazaniem naszej historycznej przeszłości przeniosły się z seminariów uniwersyteckich oraz pracowników instytutów naukowych także i do literatury pięknej. Fakty te świadczą iż, rola tradycji narodowych w współtworzeniu kultury socjalistycznej (podkreślona tak wyraźnie przez ostatnie Plenum KC PZPR) została słusznie doceniona. Nowe pozycje z gatunku powieściowych biografii historycznych, szybki rozwój tego typu powieści posiadają dla wymienionych powodów jak najbardziej pozytywną wymowę. Toteż zarówno ze względu na charakter rozwoju naszej literatury, w której ten typ powieści powinien znaleźć poczesne miejsce, jak i na rolę popularizatorską, spełnianą przez te utwory, należy z zadowoleniem zanotować fakt ukazania się na półkach księgarskich w ostatnim roku szeregu pozycji, których ambicją stało się bądź ukazanie walki o wyzwolenie narodu i rewolucję społeczną, jak to ma miejsce w książkach Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego („Jakub Jasiński”), Leon Przemskiego („Szary Jakobin”) i Stanisława Strumpha Wojtkiewicza („General Komuny”), bądź też stworzenie prawdziwego obrazu postaci tak dla kultury polskiej doniosłych, a tak świadomie przez literaturę burżuazyjną fałszywie przedstawianych, jak Fryderyk Chopin i Juliusz Słowacki (Jerzy Broszkiewicz „Kształt miłości” i Mieczysław Jastrun „Spotkanie z Salomeą”).

Wszystkie wymienione pozycje dotyczą jednego właściwie okresu, choć chronologicznie obejmują dość duży szmat czasu: od epoki rewolucji kościuszkowskiej („Jakub Jasiński”) aż po powstanie styczniowe i walki paryskich komunistów („General Komuny”). Okres ten można uważać za jednolity ze względu na sytuację, w jakiej znajdował się kraj, a którą Fryderyk Engels ujął w zwięzłej ocenie: „Polska stoi przed alternatywą — albo być rewolucyjną, albo zginąć”. Innego wyjątku istotnie nie było. Warunki wymagały dwóch zasadniczych posunięć: w polityce społecznej — uwłaszczenie chłopów, likwidacji stanowej przewagi szlachty, a więc rewolucji społecznej, bez której nie mogła mieć żadnych szans zwycięstwa walka narodowo-wyzwolenicza; w polityce międzynarodowej konieczne było zrezygnowanie z zabiegów przy gabinetach reakcyjnych rządów i oparcie się o ruchy rewolucyjne postępowej Europy. Toteż wiek XIX zapisuje piękne karty w tradycji polskiej myśli postępowej i walki rewolucyjnej. W walce z wrogiem wewnętrznym i rodzimą reakcją hartowali się ludzie tacy, jak Jagub Jasiński, Jakobin Kozłowski, Walery Wróblewski. Po stronie rewolucji i wolności ludów opowiadali się strofy poezji Słowackiego i stały chopinowskie „armaty w kwiatkach”, jak nazywał muzykę Fryderyka Robert Schumann. W walkach o wyzwolenie narodowe i społeczne, w pełnym głębokiego internacjonalizmu zrozumieniu i sojuszu polskich rewolucjonistów, rosyjskich dekabrystów i francuskich komunistów, w postawie Juliusza Słowackiego w pamiętnym roku Wiosny Ludów, w setkach taktów spisanych ręką Chopina należy szukać tego, co dla tradycji narodowej najistotniejsze i co spełnia doniosłą rolę w rozwoju naszej socjalistycznej kultury. Ukazanie tych wartości, sięgnięcie po tego rodzaju tematykę, próba ukazania szerokiemu ogółowi historycznych perspektyw rewolucyjnej myśli i walki — to niewątpliwie zalety wszystkich pięciu pozycji.

JAKUB JASIŃSKI — „MŁODZIAN” PIĘKNY I POSEPNY

Jakub Jasiński — jakobin, organizator insurekcji kościuszkowskiej na Litwie, poeta — rewolucjonista nie miał entuzjastów skorych do czerpania tematyki z jego bujnego, otoczonego niemal legendarnym urokiem żywota. Burżuazyjni historycy literatury pisali o nim stosunkowo niewiele, a jeżeli nieposob już było go pominąć, decydowano się przede wszystkim na uwzględnienie lirycznego, sentymentalnych rymów i rozczulano się iż nikt za pewnie nie wie, że jest on autorem popularnej piosenki „Chciało się

Zosi Jagódek”. Strona rewolucyjna zarówno jego życia, jak i poezji nie pasjonowała panów, którzy mieli do jakobinów uzasadnione klasowym interesem pretensje. Świadomie zapomniany poeta — żołnierz nie nadawał się do legend z cyklu „bohaterstwo braci szlachty”, a do opracowań historyczno-literackich miało „wciążniejsze” tematy.

Trzeba było dopiero postępowej i solidnej rewizji naszej przeszłości, by postać Jakuba Jasińskiego została w pełni blasku jego wartości ideowych i artystycznych. Książka Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego jest pierwszą powieściową biografią rewolucyjnego poety i żołnierza. Tym większą ciężar na niej odpowiedzialność. Ma ona zbliżyć postać Jasińskiego, ukazać go na tle epoki, stworzyć portret,



Stanisław Ryszard Dobrowolski

który wyjaśniłby serdeczność i tajemniczość, z jaką namalował go w „Panu Tadeuszu” Mickiewicz krótkim określeniem „Młodzian piękny i posepny”. Charakter beletrystyczny pracy ułatwił kontakt z czytelnikami, spopularyzował postać, której nie można nie znać.

Książka Dobrowolskiego jednak sprostowała nie wszystkim z tych wymogów. Zaczynając od typu pracy, jej konstrukcji sposobu w jaki suma wiadomości o Jakubie Jasińskim miała przekształcić się w artystyczną syntezę. Dobrowolski w wyborze między powieściową biografią, a pracą historyczną nie powiedział ani tak ani nie. Praca jego stanowi jakąś pozycję pośrednią. Starając się być jak najwierniejszy faktom korzystał z oficjalnych dokumentów, listów, nawet publicystyki, uprzedzając zresztą czytelnika — w przedmowie iż „przy komponowaniu literackich obrazów, scen i dialogów przenosił niejednokrotnie żywemu cudzą treść do swojego utworu”. Nie najlepiej jednak odbiło się to na książce. Dążenie do jak najwierniejszego oddania myśli i idei ludzi owej epoki prowadzące do tak częstych dosłownych zapożyczeń pozbawiło autora oryginalności i pewnej swobody posługiwania się materiałem historycznym przy konstrukcji scen i obrazów. Ze względu na beletrystyczny charakter pracy cechy te obciążają książkę jako pozycję literacką. Nie są to jednak jedyne konsekwencje jakie pociąga za sobą metoda autora. Wpływa ona również na ściśnięcie horyzontów książki sprowadzenie jej w wielu wypadkach do relacji o faktach i myślach podawanych wiernie i dokładnie, lecz zezwających zakres pracy do zebrań pewnej sumy wiadomości bez szerokiego uogólnienia bez ukazania powiązań, bez interpretacji faktów. Dobrowolski nie mógł wykończyć możliwości historyka — naukowca, ale nie wykorzystał też w pełni możliwości pisarza. Nie zdobył się na ten rozmach, który w powieści decyduje o tym, że dobór faktów, charakterystyka postaci, motywacja zdarzeń dają w całości pogląd na epokę nie poprzez cytaty i relacje, lecz przez uogólniające, wielostronne, ukazujące to, co typowe obrazowanie artystyczne. Dlatego postać Jasińskiego niekiedy roztopia się w obrazach tak natłoczonych drobiazgami, jak rozdział pierwszy „Piknik”, to znów wydaje się czytelnikowi papierową i nieprawdopodobną, gdy autor każe jej mówić cytatami ze Staszica i Kołłątaja.

To jednak dopiero pewne błędy książki. Nie są one decydujące na tyle, by można było odmówić pracy Dobrowolskiego wartości poznawczej i ideowej. Książka daje rzetelne wiadomości o epoce, o działalności młodego rewolucjonisty, o wielkiej wadze ideologicznej jego poezji. Ukazuje się intrzyg przeciwników Jasińskiego bojących się konsekwencji jakobinowskiego hasła „Idźmy za przykładem Francuzów”, odkrywa brak rewolucyjnej dojrzałości wśród przywódców powstania kościuszkowskiego, opanowanych przez kotlety „umarkowanej jasniowości”, dla której rewolucja socjalna stanowi — niebezpieczeństwo groźniejsze od przemocy carskiej. Ukazanie postaci jednego z najbardziej postępowych bojowników epoki, wydobycie najbardziej rewolucyjnych akcentów, jakie przybrała insurekcja kościuszkowska na Litwie sprawia, że książka Dobrowolskiego spełnia funkcję, o

której przed przeszło stu latami mówił Jakub Jasiński: „Nauka o dawnych czasach tyle tylko zatrudniać powinna, ile wystawia na widok ducha prawa, przyczyni wzrostu lub upadku, które każdy stosować może do swego pożytku”.

„SZARY JAKOBIN”

Postępowe tradycje myśli społecznej i walki rewolucyjnej znaczą się etapami powstań: kościuszkowskiego, listopadowego, styczniowego. Zadane z nich nie przyniosło pełnego zwycięstwa radykalnej lewicy, ale każde było momentem najdramatyczniejszej walki między szlachetką — magnacką reakcją, a radykalnym nurtem rewolucyjnym.

Książka Leona Przemskiego „Szary Jakobin” ukazuje powstanie listopadowe z tego właśnie punktu widzenia — obrony interesów narodu przez lewicę demokratyczną oraz zdrady ich przez obóz ziemlański — magnacki, który walkę zainicjowaną przez lud warszawski wypaczył świadomie do klasnej perspektywy intencyj — ze względu na ich wschodnie majłaki — ruchochawki zbrojne, grożące carowi tylko w imię tym korzystniejszego później z nim porozumienia. Powstanie staje się narzędziem w walce o ewentualne zyski, staje się w rozumieniu kół rządzących aferą, do pomyślnego zakończenia, której prowadziły wszystkie drogi, nawet zdrada kraju (portretacja z Metternichem wygrana przeciwko polskiemu rewolucjonizmowi).

Obok pałaców Krakowskiego Przedmieścia, gdzie stary Kozłowski szkaluje Mickiewicza i czyta swoje arcydzieło „Ziemiaństwo”, Czartoryski przyjmuje Metternichowskich konsułów, a panice prawdy dusery pięknym damom — istnieje jednak Stare Miasto i ludzie tacy, jak Stach Mierzwia, Wawrzek Białas, którzy reprezentują ujawniający się w dniach sierpniowych niepodległościowy żywioł demokratyczny stolicy.

Rozwarstwienie ideowe jest ukazane przez Przemskiego wyraźnie i nie jest przypadkowe, lecz ilustruje podstawowy konflikt klasowy epoki. Klęska powstania listopadowego została zarysowana z jej całym podłożem społecznym, uwarunkowana polityką obozu, który celowo unikał bitwy, a zarządza parady i modlitwy.

Wnikliwa na ogół obserwacja charakteryzuje również spojrzenie Przemskiego na rewolucyjny klub „Towarzystwa Patriotycznego”, w którym rozróżnia nurt umiarkowany i radykalny, demokratyczny lewicę (Mochacki, Kozłowski). Postać Szarego Jakobina — Józefa Kozłowskiego, który wiąże klub z rzemieślniczą, rewolucyjną Warszawą, dąży do rewolucji społecznej i wbrew klubowym zwolennikom konstytucyjnej monarchii wypowiada się za utworzeniem rządu republikańskiego — jest słusznie przez autora pasowana na pozytywnego bohatera epoki powstania listopadowego. Ale konsekwencja w docenianiu wagi działalności Kozłowskiego zaprowadziła autora o krok za daleko. Tajemnicza, nieoczekiwana śmierć Kozłowskiego gwałtownie załamuje koniec powieści. Ukazanie postaci bohatera na tle i w ścisłym związku z epoką, jest niewątpliwie zaletą książki Przemskiego i sprawia, iż bohaterem jest nie tylko warszawski jakobin, ale cały ruch rewolucyjny, który on reprezentuje. Tak jest jednak tylko do pewnego momentu. W chwili, gdy Kozłowski w najbardziej decydującej sytuacji choroba odsuwa od warszawskich wydarzeń pamiętnego sierpnia 1831 r. — wypadki te znikają i z książki Przemskiego, która daje dokładny obraz przygotowań do nich. Zaskoczony czytelnik zapytuje w rozterce czy postać Kozłowskiego miała tu ilustrować i charakteryzować akcję rewolucyjną jakobinów, czy też naci społecznym i politycznym konfliktów były ważne tylko ze względu na zainteresowanie nimi Józefa Kozłowskiego. To uproszczenie. Ale niepokojący akcent zakończenia sugeruje przypuszczenie, że ze śmiercią bohatera kończy się problematyka powieści. Tymczasem dopiero wypadki sierpniowe były właściwym punktem kulminacyjnym owej problematyki i klęska nie była tylko skutkiem śmierci szarego, lecz niezastąpionego jakobina oraz faktu, iż „Krukowiecki okazał się podlecem, a generałowie zawiedli”. Ambicją autora było obok postaci polskiego jakobina ukazać rewolucyjny plebs warszawski i ukazuje go w powieści. Zawodzi jednak w momencie, gdy drugi bohater jego książki dochodzi do głosu. Zadowolone uwagi na ten temat emigrujących uczestników powstania nie wyjaśniają sytuacji. Ukazanie wypadków sierpniowych i pełna ocena tego żywiołowego wybuchu podniosłyby

wymowę książki, której wartość ideowa i artystyczna jest przecież niewątpliwa.

SPOTKANIE Z SALOMEĄ

Powieść Mieczysława Jastruna, w przeciwieństwie do pracy o Jakubie Jasińskim, jest powieścią, w której dokumentacja historyczna schodzi na plan drugi, a oddzielenie prawdy od zmyślenia nie jest sprawą prostą. Niewątpliwie główną przyczyną jest fakt, iż do opisywanego okresu życia Słowackiego dokumenty nie istnieją. Źródła historyczne milczą o tym, jaka treść wypełniła dwumiesięczny pobyt poety we Wrocławiu 1848 roku. Lukę tę postarała się zapełnić wyobraźnia autora. Czy wyobraźnia miała realne dane, jakieś wnioski wyciągnięte na podstawie listów czy poematów, jakieś przypuszczenie na podstawie przewidywań, w jakim kierunku mógł pójść dalszy, ideowy rozwój poety? Oczywiście sugestie, iż tak właśnie potoczyły się wypadki wrocławskie i tak była ewolucja ideologiczna Słowackiego mają swoje uzasadnienie zarówno w jego postawie wobec wypadków poznawskich (docenienie elementu plebejskiego w ruchu rewolucyjnym), jak i jeszcze w jego ideowym credo „Odpowiedź na Psalm Przyszłości” gdzie spoza mistycznej zasłony brzmią wyraźne akcenty rewolucyjnego demokratyzmu. Wygaśnięte z tych i wielu faktów wnioski o charakterze przemian w świadomości poety, jakie przyniosła wiosna 1848 roku zdają się być prawdopodobne i możliwe. Słowacki był już na tym szczeblu rozwoju ideowego, z którego skok od deklaracyjnego i formalnego na razie uznania się za „pomocnika rewolucji nieuniknionej” do czynnej walki społecznej był już możliwy, jak dowodzi tego choćby jego stanowisko w Komitecie Po-



Mieczysław Jastrun

znańskim. Ale przeciwko autorowi „Spotkania z Salomeą” należy wysunąć zarzut innego rodzaju. Cóż wiemy o postaci Juliusza Słowackiego na podstawie książki Jastruna? Portret wielkiego poety, mimo starań autora, nie wypadł przekonująco. Wiemy o nim, że niecierpliwie czeka na matkę, z którą ma spotkanie po 18-tu latach rozłąki, że jest zasobny w bilety kasy Lafitte oraz akcje drogi żelaznej, a więc umie pokierować finansową stroną swego życia bynajmniej nie w sposób górny i chmurny, ale jak najbardziej realny, że lubi rozmowy o pięknie i sztuce z nadobną panią Zofią Mielecką i uważa się za geniusza ludzkości, gdy zapuszcza się w ciemne, tajne swoich mistycznych rozważań, z których w kraju — och, nie to, co na Emigracji! — potrafili niektórzy drwić w żywe oczy. Mały szczerpy mężczyzna, przechadzający się w oczekiwaniu na matkę po debarkaderze wrocławskim jest człowiekiem wysubtelniwym, wrażliwym na piękno, nieco rozkapryszonym przez długą chorobę i nienormalne warunki emigracyjne. W spotkaniu z panią Salomeą reprezentuje stronę słabszą, zbłąkaną na trudne do pojęcia manowce mistycyzmu, rozdarta w mece pierwszych wątpliwości w mistyczną ideę, która nie może się ostać wobec prostych faktów życia. Słowacki jest pełen konfliktów i sprzeczności, myśli najbardziej rewolucyjnych i najbardziej reakcyjnych. Zaczynamy patrzeć na „Julia” oczyma matki, jej ocena z perspektyw krzemienieckich doznań i doświadczeń uchyla się pokornie o rozstrzygnięciu, o które nie chce się nawet kusić. Ta pokora ma w sobie jednak wiele, pobłażania zdrowego rozsądku dla dziwactw geniuszu... Kontakt Słowackiego z Jakubem Krzysztofem, krajowym działaczem rewolucyjnym decyduje o przebiegu poety na pozycję czynnej walki rewolucyjnej. Decyzja wielkiej wagi. Na decyzji się kończy, do działania nie dochodzi z powodu aresztowania Krzysztofa i zmuszenia Słowackiego do natychmiastowego wyjazdu. Ale przebieg poety na pozycję skrajnego radykalizmu pozostaje faktem. Faktem, do którego autor niegłęboko przystąpił rozłożoną, rozdrobnioną na mnóstwo informacji o uczuciach

poetycznych i wzruszających, lecz przelotnych, traktowana z wielkim współczuciem i lekkim pobłażaniem — nie jest przekonująca i czytelnik do końca nie jest pewien, czy wielka decyzja nie jest kaprysem lub rozpaczą decyzją człowieka, który po prostu nie chce wracać do beznadziejności paryskiego życia. Poetyczne zamazanie postaci Juliusza Słowackiego wymowę przeżywaną przez niego ewolucji i podjętej decyzji.

Braki te nie zmieniają faktu, iż próba ukazania tego nieznanego wykładu życia poety, jest pozytywnym wkładem do nowej interpretacji ewolucji naszych romantyków, która dla burżuazyjnych historyków kończyła się mistycyzmem — jako szczytem osiągnięciem, a która w istocie przedzierała się u Mickiewicza i u Słowackiego aż do granic rewolucyjnego demokratyzmu.

„KSZTAŁT MIŁOŚCI”

Wśród wydanych ostatnio biografii historyczno-literackich książka Broszkiewicza posiada szczególne znaczenie jako powieść sięgająca po odmienne i specyficzne tradycje rewolucyjne przeniesione geniuszem Fryderyka Chopina z rzeczywistości owych burzliwych lat XIX wieku w świat muzyki zamykającej swą treść ideową w skomplikowanym kształcie artystycznym. Wobec znaczenia, jakie muzyka Chopina posiada w naszej kulturze narodowej oraz wobec faktu, iż dotychczasowa interpretacja literacka życia i dzieła wielkiego muzyka ograniczała się do uroku legendy obracającej się w kręgu spraw małych, żławych i nie najważniejszych — książka Broszkiewicza spełnia specjalnie ważną funkcję.

Pierwszą i decydującą o wartości pracy Broszkiewicza cechą jest ukazanie życia i dzieła Chopina w ścisłym związku z epoką, z której wyrósł i której świadectwo pozostawiał nam w swoim dziele. Zadane motywy i tematy wielkiego muzyka nie przysły na świat „z kraju Muzyki Od Wszystkiego Niezależnej”. Takiego kraju nie ma. Muzyka jest sprawą bardzo ludzką — sprawą nie tylko jednego człowieka — twórcy i jednego człowieka — odbiorcy. Temat sonaty h-moll sformułował i zapisał znakami pozorne abstrakcyjnymi Fryderyk Chopin. Owa sonata jednak jest świadectwem stosunku Fryderyka Chopina do wielkiego, żywego, ludzkiego świata. Te „pozorne abstrakcyjne znaki” muzycznych fraz i tematów przekłada Broszkiewicz na słowa, które wprawdzie nigdy nie opowiedzą pierwszego tematu sonaty h-moll, ale które ukazują rodowód piękna muzyki chopinowskiej, źródło jego wielkiej twórczości, treść ideową jego kompozycji.

Trudno jest pisać o Chopinie i jego kontaktach z epoką — Fryderyk nie należał do osób manifestujących słowem swe przekonania, sympatie, poglądy. To prawda. Ale sposób, w jaki Broszkiewicz — chciał pokonać tę trudność nie zawsze jest szczęśliwy. Charakterystyka epoki, zajmująca wiele, może nawet zbyt wiele stron książki rozmiąta się niekiedy na tyle z życiem Chopina, że wydaje się wątpliwa konieczność tak szeroko rozbudowanej części relacyjnej. Rozbija to kompozycję powieści na dwie części — beletrystyczną, dającą obraz życia i drogi twórczej Chopina oraz opisową, historyczną, zamykającą się w ramach relacji o faktach. Dwie te części łączy zwykły komentarz autorski, przykrywający wielkie wypadki na szerokim świecie do losów genialnego Polaka. Oczywiście zarzut nie idzie w kierunku negacji owych ścisłych związków bohatera z epoką i losem jego narodu. Nie zbyt szczęśliwe tylko wydaje się takie — powiedzmy nieco uproszczone — przedstawienie owych powiązań.

„Muzyka — jest jak każda sprawa ludzka” — stwierdza słusznie autor. Ale każda sprawa ludzka dla zrozumienia jej wymaga ukazania pełnego człowieka. Tymczasem postać Fryderyka Chopina gubi się w pierwszym tonie w charakterystyce warszawskich salonów, kawiarni, dysput, gubi się również w części drugiej, gdzie autor dużo mówi o jego narodowym geniuszu, ale zbyt często ukazuje go jako poetycznego salonowego dandy lub samotniczego cierpielnika. Odautorski obraz epoki, charakterystyka Chopinowskiego talentu zastąpiły niekiedy ludzką postać wielkiego artysty.

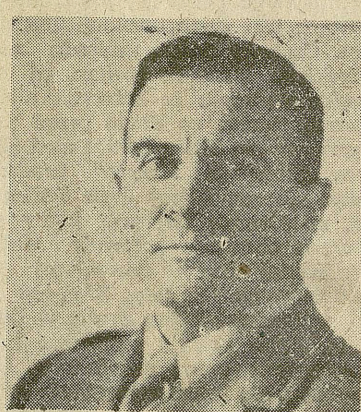
Książka Broszkiewicza — mimo pewnych braków — spełnia ważną funkcję wśród serii historycznych powieści. Niewątpliwymi walorami są w „Kształcie miłości”: ukazanie tej najistotniejszej prawdy, iż Chopin „w poszukiwaniu narodu, w poszu-

kiwaniu rzeczywistych jego przedstawieli związał swą myśl i wyobraźnię z tymi, których przecież nie uważano nawet za godnych nazwy synów narodu”, powiązanie rewolucyjności muzyki Chopina z najbardziej postępowymi i rewolucyjnymi ruchami epoki, ukazanie, jak nowa treść ideowa rodzi w twórczej mecie Chopinowskiego poszukiwania „Kształtu miłości” — nowe formy. Talent młodego pisarza sprawił, że książka o Chopinie jest jedną z najpiękniej napisanych powieści biograficznych, posiada fragmenty, w których staje się niemal prozą poetycką, przybliża dźwięk słowa do czaru Chopinowskiej muzyki.

„GENERAL KOMUNY”

I wreszcie ostatni chronologicznie okres, w który powieść historyczna sięgnęła po rewolucyjną tradycję narodową. Okres powstania 1833 roku, walk z carem oraz starcie między obozem „białych” i „czerwonych” o charakter powstania, o reformy społeczne, o stworzenie warunków do wielkiej wojny narodowej, w której wzięłyby udział cały naród, a nie tylko jego uprzywilejowana, uszlachcona część. Powstanie upadło wskutek polityki rozbijającej reakcji bojącej się rewolucji społecznej, wskutek obłudnej polityki zagranicznych gabinetów, które zdobyły się tylko na puste gesty. Polacy, dla których sprawa polska łączyła się ze sprawą europejskich nurtów, rewolucyjnych walczyli na wszystkich odcinkach, gdzie toczyła się walka o wolność. Polacy stanowili najliczniejszą grupę wśród cudzoziemców, którzy poszli na barykady Komuny Paryskiej. Do ludzi tych należał General Komuny — Walery Wróblewski — bohater książki Strumpha Wojtkiewicza. Książka ta, bezpretensjonalna w swej formie beletrystycznej, solidna w podawaniu faktów historycznych — daje obraz epoki prosty i prawdziwy. Na przykładzie postaci rewolucyjnego uczestnika powstania styczniowego, a potem dowódcy proletariatu francuskiego w walkach Komuny — ukazuje autor najpiękniejszą tradycję rewolucyjnej Polaków walczących o „wolność naszą i waszą” w programie międzynarodowego internacjonalizmu, występującym z hasłem „wyszedłko dla ludu przez lud” na gruncie spraw narodowych. Wróblewski, „demokrata z pojęć, z zasad, z ducha — rewolucyjny radykalista z krwi i kości” — jak sam siebie nazywa został przez autora ukazany w sposób stosunkowo pełny i wszechstronny, począwszy od jego pierwszych kontaktów z rewolucjonistami rosyjskimi a skończywszy na współpracy z Karolem Marksem, Engelsem i I Międzynarodówką.

Strumpha Wojtkiewicza ukazując jak najbardziej wstępną politykę papieża i rządów reakcyjnych przeciwstawia im internacjonalizm rewolucyjnych grup Europy, dowo-



Stanisław Strumpha Wojtkiewicza

dzi, iż wielką i wyłączną szansą Polski owych lat mogło być tylko zrozumienie faktu podkreślanego przez Marksa, iż „Polska w Europie ma i mieć może tylko jednego sprzymierzeńcę, a mianowicie międzynarodową klasę robotniczą”.

Zwieńcza, skondensowana książka o Polskim Generale Komuny nie jest powieścią pretendującą do oryginalności literackiej czy historycznej. Daje, jednak sumę faktów zamykających godny poznania okres walk rewolucyjnych i na tym polega jej wartość.

„Renesans” powieści historycznej, notowany w bieżącym roku wydawniczym, przyniósł pozycje ciekawe i rokujące jak najlepsze nadzieje temu gatunkowi literackiemu, przed którym stoją zadania przetworzenia historycznych wiadomości w artystyczną formę obrazowania literackiego. Możemy oczekiwać pozycji następnych, które podjęłyby nowe tematy, ukazały nowe perspektywy historyczne rewolucyjnej tradycji narodowej.

Helena Zaworska

* Stanisław Ryszard Dobrowolski — Jakub Jasiński — „Młodzian piękny i posepny” W-wa, 1951 P. I. W., str. 247.

* Leon Przemski — „Szary Jakobin” W-wa 1951. Wyd. Min. Obrony Nar., str. 316.

* Mieczysław Jastrun — „Spotkanie z Salomeą”, W-wa, 1951, PIW, str. 233.

* Jerzy Broszkiewicz — „Kształt miłości”, W-wa, Cytelnik, cz. 1 — 1950 r. — str. 192. Cz. 2 — 1951 r., str. 205.

* Stanisław Strumpha Wojtkiewicz — „General Komuny”, Warszawa, 1951, PIW, str. 209.

SEWERYN SKULSKI

ZOFIA RZEPLIŃSKA

Siódmym krzyżem był hitleryzm dla niemieckiej klasy pracującej

Jeszcze dziś, szczególnie na wsłuchanie, się słyszy takie powiedzenie, że wszyscy Niemcy są jednakowi, żadnemu wierzyć nie należy i, że „dopóki świat światem, Polak nie był i nie będzie Niemcom bratem”. Słyszeliśmy przy tym, że hitleryzm był wspierany przez wszystkich Niemców.

Prawdą jest, że nasz naród, nasze państwo od czasów swojego powstania najwięcej przykrości, uderzeń, krzywdy i gwałtów doznało od państwa niemieckiego. Ale aby wiedzieć, jakimi drogami ta krzywda szła ku naszemu narodowi, trzeba znać nie tylko własną historię, trzeba znać historię państwa i rozwoju państwa niemieckiego. Trzeba wiedzieć, kto i jak tam panował, trzeba znać zaborczość i butę junkierstwa niemieckiego i trzeba znać historię niemieckiej klasy robotniczej.

Jak nie prawdą jest, że każdy z nas, każdy Polak i każda Polka, wspieraliśmy magnaterię naszą, a następnie pilsudczyznę i sanację w ciągłym marszu na Ukrainę, Białoruś i Litwę w celach zaborczych, dla prześladowań narodowych i wydzierania ziemi ojczystej podbitym i niszczeniu ich języka, tak samo nie prawdą jest, że każdy Niemiec i każda Niemka wspierali junkierstwo swoje, a następnie hitleryzm w pochodzie na naszą ziemię i w niszczeniu naszego narodu, naszej kultury i naszego istnienia narodowego.

Niedawno ukończyłem „lekturę pięknej i nader cennej powieści Anny Seghers, utalentowanej pisarki demokratycznej i postępowych Niemiec. Jej książka „Siódmy Krzyż” to nie fantazja. To żywy i prawdziwy obraz smiałej walki, oporu i nadludzkich poświęceń części narodu niemieckiego, klasy robotniczej, chłopów i inteligencji. Autorka ukazuje zniechęcenie się hitleryzmu nad ludźmi, którzy w hitleryzmie widzieli zbrodnię i barbarzyństwo. Anna Seghers opisuje obóz koncentracyjny, gdzie hitlerowscy oprawcy mordowali i znęcali się nad ludźmi, którzy ukochali życie wszystkich ludzi tak samo jak własne. Opisuje ona jedną z ucieczek kilku więźniów z obozu, ich przejścia i tragizm ich dni. Ale nie tylko to jest ciekawe w „Siódmym Krzyżu”. O wiele ciekawsze jest to, że ci uciekinierzy z licznych, nieznanymi im przedtem ludzi znaleźli pomoc nie tylko moralną, ale i materialną. Przecież ci pomagający od zwykłych robotników, chłopów do lekarzy — wiedzieli, że ci uciekinierzy i wiedzieli też, czym im grozi zuchowactwo i zbiegłość. Mimo to nie tylko podali im rękę i przechowywali ich we własnych domach, ale i polecali ich innym ludziom w potrzebie.

Seghers zajmuje się antyhitlerowską już w czasie wojny. Mogłby jej ktoś z tego zarzut uczynić, tak pisała, gdyż przeczuła przegrana hitleryzmu, i pragnęła część narodu niemieckiego pokazać światu nie w oparciu idei gestapowskiej. Tak nie jest. Czołowy odłam narodu niemieckiego, klasa robotnicza, od początku walczyła ze zbrodnią hitleryzmu, jeszcze na długo przed wojenną agresją hitlerizmu. Przed lekturą „Siódmego Krzyża” przeczytałam „Naszą Ulicę” Jana Persemana, mieszkanka Berlina, który w żywych obrazach pokazuje walkę berlińskiej klasy robotniczej ze szturmowcami Hitlera. Zajmuje się on najbardziej jedną z ulic w Berlinie, która prawie wyłącznie była zamieszkała przez robotników. Nie przedkładał jej nigdy swoją ideologią. Z domu kultury klasy robotniczej, jaki znajdował się na tej ulicy, hitlerowcy uczynili katedrę, gdzie liczni poginieli w męczarniach. Ale w dniach największego triumfu hitleryzmu i pełni jego władzy ulica ta pokazała w dzień zgony jednego ze swoich przywódców, że nigdy duch klasy robotniczej nie został złamany. Mężczyźni, kobiety i dzieci w postawie swojej ukazywali nienawiść do hitleryzmu.

Prawdą jest, że hitleryzm zdołał zaszczepić bakcyle i jed nienawiści do wszystkich, co nie tchnęło hitleryzmem, zaborczością i morderstwem, ale to uczynił hitleryzm nie o własnej sile. Ci mu pomogli, ci sami, którzy dziś odradzają ten sam hitleryzm i jego militarizm, ażeby znów rozpocząć ten sam łańcuch krzywd, a którzy tak łaskawo są dla zdradców naszego narodu, Mikolajczyka, „rzędu londyńskiego” i całej naszej grupy reakcyjnej. Do zbrodni pomogli hitleryzmowi tacy dawniejsi z duchem dzisiejszych Trumanów, Achesonów, Mac Arthurów i Eisenhowerów.

Nieprawdą jest, że każdy Niemiec jest moim wrogiem, a ja wrogiem każdego Niemca. Ja dziś chylę czoło przed każdym cierpieniem i męką, śmiercią i ofiarą takiego Niemca, który padł w walce z hitleryzmem — w obronie spokoju mojego domu w Polsce. Dziś wielu Niemców chyli czoło przed partyzantem, moim bratem, za jego walkę partyzancką z hitleryzmem. Nie naród

niemiecki jest moim wrogiem i wrogiem granic mojego państwa ludowego. Wrogiem moim i granic państwa jest imperializm amerykański, który dla swoich celów panowania nad światem i dla zamiarów rozpętania nowej rzezi światowej przeciwko Związkowi Radzieckiemu i krajom demokracji ludowej, zbroi Niemcy Zachodnie i odradza ten sam dziki, a zbrodniczy hitleryzm. Niemcy ludowe to siostra mojej ludowej Polski. Naród niemiecki w swojej demokratycznej republice, niemiecka klasa robotnicza nie ma innych celów poza celami mojego narodu i mojej klasy robotniczej — zgodę, współpracę, odbudowę, lepszy byt, podniesienie kultury i jedność i taką samą walkę o pokój. I w Niemczech Zachodnich naród niemiecki, chłop, robotnik, inteligent pracujący nie są moimi wrogami i moim krajem. Moimi wrogami jest tam klika bogaczy i reakcjonistów, panująca i wykonująca wszystkie życzenia największego wroga naszych narodów, imperializmu amerykańskiego. Moimi i mojego kraju wrogami są tacy jak Anders i Cat-Makiewicz i hrabiowie polscy, którzy czołgają się u stóp sług imperializmu amerykańskiego, u stóp Adenauera ofiarowującym mu ziemię i Wrocław, aby na pozostałym skrawku polskiej ziemi raczył im oddać folwarki, banki i bat nad narodem.

Wizyta Prezydenta Niemieckiej Republiki Demokratycznej w Warszawie i nasze serdeczne przyjęcie, rewidzimy naszego Prezydenta w Berlinie i takie samo serdeczne przyjęcie, świadczą o przyjaźni i pokojowych dążeniach obu narodów sąsiadujących ze sobą. Większa część narodu niemieckiego czy to w zachodnich czy wschodnich Niemczech, brzydzi się dzisiaj zbrodnią narodu niemieckiego nad narodem naszym przez junkierstwo i hitleryzm. My znów znając rodowody tych zbrodni, nie palamy nienawiści do tych, którzy tej zbrodni nie uczynili, bo wiemy, że te same siły popierały zbrodnię nad obywatelami niemieckim narodem i te same siły naszej własnej reakcji chwytali się zbrodni w stosunku do naszego narodu.

Wrogiem jest nie naród niemiecki i Niemiec jako taki. Wrogiem jest zaborczy hitleryzm i militarizm. Wie o tym także naród niemiecki i niemiecka klasa robotnicza, która nie bagnet, ale ręce ku nam wyciąga, gdyż przed nami jeden cel: zwalczenie tej samej imperialistycznej zbrodni. Demokratyczne i pokojowe a zjednoczone Niemcy, nigdy naszym wrogiem nie będą. Walczymy zatem na równi z narodem niemieckim, o demokratyczne zjednoczenie całych Niemiec. Przez zniszczenie hitleryzmu i militarizmu, my podjęliśmy przez amerykański imperializm zapewniemy nie tylko naszemu i niemieckiemu narodowi spokojną pracę, ale i pokój innym narodom świata.

Za zbrodnie bestii junkiersko-hitlerowskiej nie możemy potępiać każdego Niemca. Nasza literatura powojenna nie inaczej ocenia prawdę. Sztuka Kruczkowskiego „Niemcy” nie z mniejszym powodzeniem grana jest i w Niemczech. Podobnie jak my dziś patrzymy na sprawę wrogości i przyjaźni, patrzą większość narodów niemieckiego i większość narodów świata. Po odświeżeniu od władzy klasy pasywniejszej wrogość między narodami ginie, a rodzi się wzajemne zrozumienie, zgoda i przyjaźń.

Przykładem, jak żyje naród z narodem, a może być dzisiejsze nasze życie z narodem czechosłowackim czy narodami Związku Radzieckiego. Nie ma tu ani tam takich, którzy naszą nienawiść byłaby potrzebna do klasowych celów. Jesteśmy wolnymi narodami i szanujemy wzajemnie naszą pracę, kulturę i wspieramy się wzajemnie. Tak też żyjemy i będziemy żyć z narodem niemieckim.

Seweryn Skulski



Anna Seghers

Czytelnik polski od dawna oczekiwał ukazania się na półkach księgarskich „Siódmego Krzyża”. Poprzedzało go nie tylko publikowanie fragmentów na łamach pism literackich, nie tylko omówienia dotyczące bądź to samej powieści, bądź ogólnie twórczości Anny Seghers. Równolegle bowiem z tłumaczeniem książki odbywał się proces przebudowy naszych wyobrażeń o Niemczech. Przekład z niemieckiego na polski dokonywał się w zamkniętych pracowniach tłumaczy — przekład naszego stosunku do Niemiec odbywał się na płaszczyźnie bardzo szerokiej, w centralnym kręgu naszych zainteresowań światopoglądowych i politycznych. Było to wyzbywanie się kategorii wrogości do rozumowania nacjonalistycznego — i próba rozważenia problemu niemieckiego z pozycji internacjonalizmu, jak również oceny dzieł Niemiec przy pomocy metody materializmu historycznego.

Zagadnienie niemieckie bowiem wyrasta z prawdy, że „Hitlerzy przychodzą i odchodzą”, lecz „naród niemiecki pozostaje”. (Stalin). Dlaczego powstał w Niemczech hitleryzm? Jakie czynniki historyczne określiły epokę, która go wydała jako swój produkt? Od jakich sił społecznych i politycznych zależne jest „odejście Hitlerów”? Co warunkuje rozwój elementów w narodzie przeciwnych hitleryzmowi, zdolnych stworzyć nową epokę? Jakie warunki historyczne powodują ich słabość lub siłę? Roztrząsanie tych zagadnień stanowi trzon współczesnej tematyki niemieckiej w dziełach zarówno publicystów jak pisarzy. Czytelnikowi polskiemu zaś rezultaty tych analiz wyznaczają „szczęble poznania” w trudnych studiach nad niemiecką rzeczywistością. Jednym z tych „szczębli” wprowadzających w centrum badań nad okresem hitlerowskim jest „Siódmy Krzyż”.

Znakomita powieść Anny Seghers zajmuje bezspornie pierwsze miejsce wśród jej dzieł, jakie dotąd ukazały się w polskim przekładzie. Poprzedziło to „Umarli pozostali młodzieńcy”, „Ocalenie”, „Linia”, „Towarzysze”.

Dramat Niemiec w ujęciu Anny Seghers — to dramat samotności w niemieckim społeczeństwie antyfaszystowskich bojowników. Badanie tego właśnie zagadnienia ułatwi zrozumienie całokształtu sprawy.

Totalna agresja na zewnątrz została poprzedzona totalnym terrorem przeciwko opozycji wewnętrznej.

Boją się wszyscy. Jedni obozu koncentracyjnego, drudzy utraty pracy — inni jednego i drugiego.

Nastrojów, wisiacy ustawicznie nad masami społeczeństwa niemieckiego, z niesłychaną wyrazistością wielokrotnie wraca na karty powieści. Jednym z fragmentów z ekspresją najbardziej uderzającą, odwołanych z największym kunsztem artystycznym jest powrót Aldingera do domu. Aldinger jest jednym z owych siedmiu więźniów, którzy jednocześnie uciekli z obozu koncentracyjnego i na których czeka siedem krzyży w Westhofen.

„Dranie! Wszystkich trzeba rozstrzelać, towarzyszy!” — wygrał mi się na piramidę z piachu. Stamtąd wygłosił gromkie, patriotyczne i ludowe przemówienie, przepłacone ohydnie akcentowanymi rosyjskimi słowami, po czym dziarsko ruszył w stronę zbieraniałych Niemców bez oporów oddających broń radzieckim żołnierzom. Za nim posuwał się obdarty, głodny ale już roześmiany tłum. Nakowski srogo popatrzył na rozstrzelane strachem kałduny SA-mannów i zawyrokował głośno:

„Dranie! Wszystkich trzeba rozstrzelać, towarzyszy!” — wygrał mi się na piramidę z piachu. Stamtąd wygłosił gromkie, patriotyczne i ludowe przemówienie, przepłacone ohydnie akcentowanymi rosyjskimi słowami, po czym dziarsko ruszył w stronę zbieraniałych Niemców bez oporów oddających broń radzieckim żołnierzom. Za nim posuwał się obdarty, głodny ale już roześmiany tłum. Nakowski srogo popatrzył na rozstrzelane strachem kałduny SA-mannów i zawyrokował głośno:

„Dranie! Wszystkich trzeba rozstrzelać, towarzyszy!” — wygrał mi się na piramidę z piachu. Stamtąd wygłosił gromkie, patriotyczne i ludowe przemówienie, przepłacone ohydnie akcentowanymi rosyjskimi słowami, po czym dziarsko ruszył w stronę zbieraniałych Niemców bez oporów oddających broń radzieckim żołnierzom. Za nim posuwał się obdarty, głodny ale już roześmiany tłum. Nakowski srogo popatrzył na rozstrzelane strachem kałduny SA-mannów i zawyrokował głośno:

d. c. n.

Kazimierz Dębicki

DRAMAT NIEMIECKI

Towarzysze Aldingera sądzą, że on właśnie „wpadnie” najszybciej z nich wszystkich, bo jest stary i niewiele w nim już sprytu i siły. Instynktom i przypadkiem Aldinger dowiódł się jednak do swoich stron. Tu jednak umiera na skrajach rodzinnej wsi. Znajomi chłopci dostarczają trupa i zanoszą go do domu, do rodziny. W ten sposób starowina Aldinger, słaby już na ciele i umyśle, przechylił władzę i bojówki SA, gesto rozdawione po wsi, czynające na więźnia w razie, gdyby chciał się zobaczyć z rodziną. Wrócił — mimo wszystkie strasze! Rozdział ten jest jednym z najmocniejszych obrazów hitlerowskiej rzeczywistości w Niemczech.

Piętno Georga jest gorsze od dzu — kto wazył się opiekować zażartym wyzywał przeciwko sobie prawa biologiczne — ten, kto ośmielił się wyciągnąć rękę do zbiega z obozu koncentracyjnego, wchodził w konflikt z siłami stórkostniejszymi, aparatem hitlerowskiej „sprawiedliwości”. Funkcjonowanie tego aparatu nie było zależne od przypadku, lecz od regularnie działającego mechanizmu faszystowskiego okrucieństwa. Tym siłom nie można było przeciwstawić dobroci jednostek, wiary w przychyłność losu, w szczęśliwy przypadek. Przeciwno partii NSDAP nie mogły walczyć indywidu — przeciwnikiem o wspólmiernie siłę mogła być tylko równiejsza partia i tylko ona mogła mobilizować biernie, chwile masy, tylko ona mogła z Leni, Elli i Mettelheimera, Helwiga i innych czynić swoich aktywnych sprzymierzeńców.

Jak niesłychanie znamienne były wyniki wpływu Partii na tych ludzi! Wpływu nie bezpośredniego przecież, dalekiego, wyrażającego się zaledwie otarciem, potrąceniem o jej sprawę — a mimo to o jakiej przenikającej siły! Georg Heisler, komunist niemiecki, więzień obozu koncentracyjnego, idzie przez wieś i miasta swojego kraju. Idzie samotny — strach przed torturą zamknięcia przed nim ludzkie mieszkani. Mgła przerażenia oślepia ludzkie serca i umysły. Ale Georg walczy o wolność dla narodu, walczy przeciwko hitleryzmowi; jego postać i jego mecenstwo jest symbolem tej walki i to czyni jego wędrowkę podobną do wędrowki mecenarza wśród nocnych traw — dalej, ale zapalają się w niej — święte punkty.

Nie było stracone dla sprawy komunisty Heislera, dla sprawy walki przeciwko Hitlerowi niemieckie społeczeństwo! Jakże znamienne jest postawa wyrostka Hellwiga wobec sprawy kradzieży kurtyki. Z początku pienieł się z wściekłości, w najokropniejszy sposób zwracając sprawcy zaginięcia. Potem natomiast przemiany wewnętrzne doprowadzają go do tego, że dla zmniejszenia poczucia za winę w ogóle nie przyznaje się do odnalezionej rzeczy.

Dwóch dawnych kolegów Georga poznaje go i jakkolwiek radio, gazety, posterunki, niebo i ziemia objęte są jednym olbrzymim alarmem — bez namysłu odrzucają od siebie

myśl usłuchania tego alarmu, solidaryzują się wewnętrznie ze zbiegiem. A znowu tramwajarz Bachmanna, który pod wpływem strachu wydał Wallaua w ręce oprawców, dochodzi do obojdu z rozpaczą i nie zważając na żadne środki ostrożności, wyrzaskuje na całą okolicę, że szkoda było jej sznurów do bielizny dla niego i że powinien się na nim powiesić wcześniej, zanim wydał Wallaua.

Takich objawów w książce jest więcej. Przejście Georga przez kraj znaczy się nie tylko strachem — na szlaku swojej wędrowki pozostawia za sobą wyrastające kietki buntu.

Jego postać budzi nie tylko grozę — zaszczepia protest i chęć walki o sprawę, której on jest symbolem i przedstawicielem Franz, Herman, Kressow, Roeder pod wpływem zekimienia się ze sprawą Heislera odrzucają się z marazmu i bezwładności ideowej — stają się ludźmi czynu. Idea jego walki elektryzuje ich, wywołując nową energię, odkrywając nowe źródła siły. Georg i bezimiennie szeregi jego towarzyszy pokazywali społe czeństwu niemieckiemu, że można walczyć przeciwko Hitlerowi! To przecież w ogniu jego sprawy ukształtowały się takie słowa Roedera, że „Gestapo” wie tyle, ile mu się powie”, to przez niego ów pół-proletariusz Roeder bierze udział w walce przeciw faszystom. W „Siódmym Krzyżu” Roeder jest postacią tylko fragmentaryczną, ale różne znaki na niebie i ziemi wskazują, że stał się już kimś przynależnym do sprawy głównego bohatera. Nic zacepiona przez Georga rozwinię się dalej, prowadząc go w szeregi tych pół-proletariackich elementów ludności, o sojuszu, z którymi pisał Lenin omawiając taktykę proletariatu w przewrpie socjalistycznym**).

Akcja „Siódmego Krzyża” trwa parę dni i toczy się w 1937 r., ale Roeder i inni z zasięgu wpływu postaci Georga Heislera widzieliśmy jasno i na tle lat późniejszych. Czy to jako sabotażysty wycynów „tyśiądziej” Rzeszy, czy w roli bujdowniczych Niemieckiej Republiki Demokratycznej, czy jako organizatorów walki przeciwko neo-hitleryzmowi Adenauerów, Kruppów i Eisenhowerów.

„Ale” Anna Seghers pokazując antyfaszystowski ruch oporu w hitlerowskich Niemczech i odzwierciedlając jego znaczenia, nie oszczędza jednak swemu narodowi oskarżeń. Dlatego akcja Hermana, Franza, Kressow, Roedera nie jest ruchem powszechnym, masowym, dlatego szlachetność innych kolegów Georga sprowadza się tylko do bierności, dlatego strach każe Bachmannowi popełnić zbrodnię, doprowadzając go potem do samobójstwa, dlatego Wallau ginie zamordowany na torturach, dlatego nad społeczeństwem panują lotry i zwyrodnialcy jak Bunsen, Overkamp, Zillich i Fahrenberg? Dlatego pozytywne elementy w społeczeństwie były spychane w głąb lub miażdżone i jaką napędową siłą podsyłany był rosnący wciąż e-

lement społecznego zła, wstecznicstwa, zbrodni? Dlaczego walczyli komuniści Heisler był samotny, a towarzysze jego rozproszeni?

Jedyną siłą, zdolną się przeciwstawić partii hitlerowskiej, wielkiemu kapitalizmowi Niemiec, reakcji, kółtństwu i metom społecznym, wypełniającym hitlerowskie szeregi — były partie robotnicze: KPD i SPD.

Rewolucyjną siłę tej ostatniej stępiła znacznie tchórzliwa polityka kompromisu z burżuazją, prowadzona przez jej przywódców. „Siódmy krzyż” nie analizuje ich haniebnej roli w niemieckim ruchu robotniczym — pokazuje tylko rezultaty ich praktyki.

„Ale w „Umarli pozostali młodzie” mamy m. in. taką doskonałą oświełającą te sprawy wzmiankę, kiedy kapitalista Castričius tłumaczy drugiemu kapitaliście Klemmowi: „Mamy przecież na szczęście starą partię, która gorliwie tłumaczy naszym robotnikom, dlaczego ten rodzaj rewolucji, bolszewizm, działa na ich szkodę. Partia ta oszczędza nam fatygi, wylęczając cierpliwie na palcach te wszystkie trudności, z którymi wobec państwa radzieckiego musi walczyć. Więc nie mamy powodu obawiać się zbytnio rosyjskiego socjalizmu”. To właśnie charakterystyczny, obok wielu innych mu podobnych, przejaw roli SPD, Socjal - Demokratycznej Partii Niemiec — i rok 1933, kiedy Hitler doszedł do władzy m. in. na skutek braku dostatecznego oporu ze strony mas robotniczych, był uwieńczeniem tej taktyki SPD.

„Siódmy Krzyż”, pokazując każ-nię działaczy robotniczych w Westhofen, pokazując puste miejsca w ich szeregach, staje się dokumentem dramatu klasy robotniczej w tych latach. Tragizm się już prze-rzedzone szeregi bojowników Ruchu Oporu przeciwko hitleryzmowi. Wielu z nich ginie w obozach śmierci, inni na skutek bestialskiego terroru tracą kontakt z organizacją, powodując wewnętrzne roz-luznienie w komórkach i w związku z tym zahamowania działalności. Bo nie tylko zdradziecka postawa przywódców SPD zawiązała w tym, że nie dotarli do mas hasła rewolu-cyjnego, że społeczeństwo poszło na-lup faszystowskiej ideologii, że w okresie największego niebezpieczeń-stwa przepadała sposobność organiza-cji i przerywała się nie łączności między ludźmi, że wielu działaczy było już tylko robotnikami. O-błądch Komunistycznej Partii Nie-miec w latach trzydziestych Wil-helm Pieck mówił m. in.: „Partia powinna była w tym czasie uczynić wszystko, aby zmobilizować masy pracujące, zwłaszcza zaś robotni-ków socjal - demokratycznych prze-ciwno temu niebezpieczeństwu, oraz aby stworzyć wspólny front bojowy komunistów i socjal - de-mokratów... Tymczasem Partia dała się odwieść od tego za-dania na skutek antykomunistycz-nej kampanii przywódców socjal - demokracji, oraz zarządzeń represyjnych socjal - demokratycznych ministrów i prezydentów policji...**).

Znakomita pisarka w swym głę-bokim poczuciu realizmu niczego nie zmienia, odzwierciedla tragiczne dzieje swego narodu i niczego swe-mu narodowi nie oszczędza.

Ale pokazując bez wahania błędy i winy swego narodu, nie szczę-dzi gorącej apoteozy dla sił Ruchu Oporu skupionych w szeregach Ko-munistycznej Partii Niemiec — takiej jaką była. Te szeregi bowiem podkopywały skałę hitlerowskiego „tyśiądca lat”. Za słabo wprawdzie, aby nią zachwiać. Wystarczająco jednak, aby — gdy nadejdzie nowa epoka — wybić do niej przewód. Widzimy ich nie tylko w Westhof-en, nie tylko wśród aktywistów biorących udział w ratowaniu Ge-orgia; szara beżnienna masa po fa-brykach i warsztatach w napięciu czuwa. Kiedy zamęczono Wallaua „była godzina szósta po południu. Nie było przy nim nikogo. A... n-ak już w poniedziałek rano, ulotka obiegała warsztaty Opla w Man-nheim, gdzie Wallau w dawnych czasach był przewodniczącym Ko-mitetu Rady Zakładowej. „Nasz dawny przewodniczący, poseł Er-nest Wallau, został zamordowany w Westhofen, w sobotę o godzinie szóstej. Winni tego morderstwa od-powiedzą zań ciężko w dzień są-du”.

Jak wiemy, nadszedł już dawno dzień sądu. Zapadły również sprawiedliwe wyroki i wielką za-sługą wspaniałej powieści Anny Seghers jest ukazanie społeczeń-stwu niemieckiemu tych prawd, które pozwolą mu zrozumieć dzie-jową wartość tego sądu, sens i cel tych wyroków.

Zofia Rzeplińska

*) „Siódmy Krzyż” — Anna Seghers, „Czytelnik” — 1950.

**) Dwie taktyki socjaldemokra-cji w rewolucji demokratycznej.

***) Z dzieł Komunistycznej Partii Niemiec — Wilhelm Pieck, Polski Instytut Spraw Międzynarodowych, 1950.

HEINAR KIPPARDT

JESZCZE NIE NASTAŁ KRES WALKI

W powodzi liści złocistych
wiedną dni lata ostatnie,
ludzie pracują przy zbiorach,
skronie ich zrosił pot gęsty,
wystarczy dla wszystkich zboża,
wystarczy dla wszystkich pracy —
wystarczy chleba dla wszystkich.

ludzie, walczący o przyszłość
z wiara, że kłamstwo i podłość
zginęły na wieczne czasy,
Tak myślą ludzie, co wierzą,
że dosyć już nienawiści,
że szczęście — to znaczy: pokój.

Ci ludzie kochają dzieci,
ci ludzie zbierają plony,
ci ludzie budują domy.

*

W imieniu dzieci, co z głodu
konają, jak światła zdmuchnięte,
w imieniu matek płaczących,
w imieniu ofiar płonących
w piecach krematoryjnych,
w imieniu wszystkich umarłych,
lepszego niż świat wczorajszy;
w imieniu jasnego słońca,
i twórczej odkrywczej myśli,
w imieniu czół podniesionych
radosną dumą wolności,
w imieniu dni nadchodzących,
w imieniu dni jasnych, prostych,
w imieniu prawdy pokoju —
prawdy wspaniałej i mocnej
głos podnosimy my — młodzie!

Jeszcze nie nastał kres walki!
Walczymy o wolność i szczęście,
walczymy o wolność i pokój!

Niech wiedzą tchórzliwi starcy,
niech wiedzą władcy wczorajsi,
niech wiedzą szaleńcy i tchórze:
jeszcze nie nastał kres walki,
nasza jest młodzież świata,
świat wolny jest naszym domem
a przyszłość — do nas należy.

wolny przekład MONIKI WARNEŃSKIEJ

Nowe dzieje młodego pokolenia chłopów

(dokończenie ze str. 1)

Pierwszy siew klasowego wychowania przerwał przed żniwami arestowanie opiekuna. Była to robota kierownika majątku. Likwidował kontrolę partii, ale się przeliczył. Sieć kontaktów i intryg już pękła. Po żniwach opiekun wrócił z nominacją na kierownika majątku. Wróg klasowy poszedł pod sąd. Ta zmiana sytuacji uratowała naszego chłopca. Zdażył już bowiem dwukrotnie narazić się „władcy” majątku. Raz, kiedy nieczynną żniwiarkę meldował do moździerza, szybko naprawę. Drugi, kiedy zapaliła się sterta owsa, wpadł do kancelarii i dzwonił po straż. Kierownik rzycał potem! Jak śmiałaś dzwonić, kto ci pozwolił? Ty tu będziesz rządził i uczył mnie, co robić? Zabieraj się tam, skąd jesteś przyszedł! Były to jednak jeszcze żniwa, kiedy więc traktorysty, „koledzy”, zagrozili kierownikowi, że odejdą wraz z chłopcem, wymówienie zostało zawieszono.

W porę wrócił opiekun. Chłopak podczas żniw zaprawił się w koszeniu, jeździł na grabiarsce. Teraz nad deszczą pora wykopków kartofli i buraków.

W tych jesiennych pracach osiągnął 217 proc. normy i opisany został w gazecie wraz z kołem ZWM-u, do założenia którego przyczynił się już przed żniwami. W lipcu przyjechali licealiści z powiatu i wystawili sztukę. Po przedstawieniu pływający Buldog rozbił ieb jednemu z „artystów”. Zrodłem zwady była w gruncie rzeczy podrażniona ambicja byrjadystów. „Uczniowie gówniarze” budzili niejasne zagrożenie dla ich znaczenia „pionierów”. Konflikt rozładował nasz chłopczek. Licealiści byli ZWM-owcami i chcieli założyć koło. Kierownik nie pozwolił wykorzystać świetlicy. Nasz trzecio-klasista najeźbił się pojął nową sprawę i stało się tak, że koło założono w pokoju byrjadystów, z którymi mieszkał. Pływający jeszcze trochę Buldog lał iży i wołał „cóż ja winien, że dopiero teraz rozumiem”. A kiedy podczas żniw wstawał się do kierownika za „kolegą”, był już pod urokiem gimnazjalisty, kapłuszącego najbystrzej „walkę młodych”.

Przez zimę trwała miódka. Koło ZWM-u wyszło na wsie okoliczne. Przykład dla opiekun, obecny kierownik. Prowadził agitację przedwyborczą.

Nasz bohater założył dwa koła na wsiach. Wieceorazem czytał z wazienice zeszyty szkolne, przywożone z Komitetu przez opiekuna. W marcu opiekun dostał skierowanie na objęcie innego zespołu majątków — w rzeszowskim. Pojeźdźesz ze mną? Chłopak pojechał.

Na nowym majątku nasz bohater miał już inny start. W szescieńskim był jeszcze „tryga” i chłopcem do wszystkiego, choć tam umawiano szybko, realne awanse. Tu na czterech sprężonych majątkach (po 200 ha) w obliczu braku ludzi fachowych, odpowiedniego parku maszynowego i budynków został od razu traktorystą. Sztuki jeźdźstwa nauczył go dawniej Buldog. Mieszkał tam też we wsi. W starym, zrzuconym dworze osadził się opiekun, zapewniając, że wytrzyma do czasu restauracji dworu. Teren był zniszczony. Tu w barakach osadzała hitlerowcy Żydów partiami na śmierć. Okolica była dlatego w dużym promieniu zrównana z ziemią.

W tym roku wysięg pracy stawał się już ogólnopanstwową sprawą. Nasz traktorysta bez patentu ze szczególnym zainteresowaniem śledził w gazetach komunikaty o osiągnięciach w rolnictwie i przemyśle. Dzwiliwo co cisza w rolnictwie. Humor poprawił mu nowy traktor, polski „Ursus” na który się zaraz przebrał. Po raz pierwszy kupił sobie ubranie i paradował po wsi, aszany gęsto przez gospodarzy. Lekcję zakończył sam opiekun. Nasz bohater bowiem zgubił się w stosunkach klasowych. W szescieńskim wyglądało to prościej. Tu przymilił się bogactwo, przez chłopca „afie” do kierownika. Towarzysz przypomniał mu zawieszoną pracę zwiemuowska. Chłopak dwie nocy pracował traktorem i zaszedłony czas obrócił na wyjazd do powiatowego zarządu ZWM-u, wracając z instruktorem, koło zostało założone.

Przez lato naprawiono stary pałac, wybudowano chlewnie, obore i garaż na cztery traktory. Rozrostło się koło na majątku i we wsi. Z traktorysty zrobił się teraz nasz bohater ogrodnikiem. W zespole był duży, stary magnacki sad. Znalazł się gdzieś w powiecie ogrodnik, który wrócił ogrodnika wielką przyszłość, wygotował plany i jesienią rozpoczęła się bitwa o sad. Prowadził ją z kołem ZWM-u nasz bohater. Jesienią zabrał się do nauki. Obiecał sobie opiekunowi, że w czerwcu złoży małą maturę. Towarzysz wszczął starania w Rzeszowie o dopuszczenie go do egzaminu. Wiosną był już byrjadierem i kierował pracą wszystkich traktorów. Miejscowe i niemieckie pisma zamieszczały teraz artykuły o ich zespole i wynikach. W czerwcu zdał małą maturę, w lipcu był na Kon-

gresie Zjednoczeniowym Młodzieży. Liceum wybrał... po pierwsze korespondencyjne, po drugie rolnicze, zorganizowane przez Ministerstwo Rolnictwa. Nie miał „jeszcze odwagi” zerwać ze swoją pracą i zostać tylko „uczonym gówniarzem”, jak w szescieńskim nazywał studentów Buldog. Dziwnie, ale utwierdziła go w tym postanowieniu pierwsza miłość i pierwszy w niej zawód. Chłopak miał osiemnaście lat. Zbudziła się w nim tęsknota do rodzinnych stron. Ale do kogo? Do stryja i stryjecznych? Miała się zbudzić ponownie w następnym roku dojrzalej, z większą świadomością społeczną. Teraz to niejasne przyobłościło się w kształty koleżanki szkolnej. Mieszkała na pół drogi między jego rodzinną wsią, a miasteczkiem, gdzie zaczął gimnazjalną naukę. Ojciec jej był robotnikiem w tartaku. Mieszkał na wzgórzu, na jednym z takich wzgórz, jakie tylko ma lubelszczyzna „pagórki wonne, pagórki dzwonne”, jak opiewał poeta.

Spotkanie przyniosło rozczarowanie. Dziewczyna rozkwiła, była już w liceum. Ale co z tego, kiedy dla jego dzieł nie okazała zainteresowania. Słyszała nawet, że w gazetach o nim pisało, jako o „pracowitym robotniku rolnym”. Nie tak pisało o nim, tak mówiła dziewczyna. Kiedy opowiadał jej o Buldogu przytknęła ku jego zdumieniu: „okropny”. Nic ja nie brała traktory, małą różnicę stanowiło dla niej, czy się siedzi na jednym czy na czterech traktorach. A Buldog, gdy w liście gratulował mu stopnia byrjadiera, tak wywozili: „Bracie, jakżeś po Buldogu, Johnie i Zetorze doczekał się Ursusa to masz teraz prawo poganiać wszystkimi czterema”. Chłopak zataił, że ma małą maturę. Dostrzegł, że bez blasku gimnazjum, jego szkoła życia zlekka przestrasza dziewczynę i obniża go w jej oczach. Zostało tak. Gdy wrócił w rzeszowskie, czekało go wezwanie na miesięczny kurs ideologiczny ZMP. Kurs miał mu wyjaśnić wątpliwości, jakie już dawniej przeżywał, zastanawiając się nad osobliwymi tymczasowością wszystkich prac w PNZ-tach, nad brakiem długofalowych planów. Teraz nowo-nadana nazwa — PGR-y, pobudzała do nowego pytania, a z resztą ziemi, co Kurs dał mu odpowiedź. Wycofał się tam w Leninia i Stalina. Przeszliwiali i obgadali uchwały sierpniowego plenum Partii.

Po powrocie nie zastał opiekuna. Starego też wzięto na kurs do Warszawy. Nie było go trzy miesiące. Nasz bohater został przybycznym zastępcą kierownika. Pracy przybywało, ale i tak nie brakowało czasu na robotę w kołach na wsi. Nocami czytał książki i przerażał skrypty liceum rolnego. W lutym wrócił stryja, mrugając od progu, co zapowiadało nową sensację. Rzezywiście, tu właśnie pod jego kierownictwem miała powstać Młodzieżowa Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna. Zaczął się wielki ruch. Zjeżdżała młodzież, w większości byli to parobcy wyrwani kulakom. Gorzko wspominali swój los, ale równie nieufnie patrzyli często na nowe. Zaczęła się budowa nowego osiedla, domków murowanych, obejścia gospodarczego i praca w polu. Nasz bohater stał się teraz dla kierownika nieodzownym towarzyszem i pomocnikiem. Zadaniem jego było dowozić przedwojenną i pociągając ku niemu zahukanych parobków i służące wiejskie, swoich rówieśników. Wzbudzić w nich wiarę we własne siły, wzbudzić pragnienie innego życia.

W pracy, w budowie, na fundamencie praktyki uczyć, osmieszać, rozbudzać i agitować. To, co działało tutaj, odbijało się mocnym echem na starych wsi. Trzeba było ponieść Statuty Spółdzielni Produkcyjnej do kół na wsiach i tam rozbudowaną ciekawość młodzieży przekuć w wolę czynu, w długofalowy plan działania. Organizacyjnie nasz bohater przeszedł teraz do nowo powstałego POM-u. Teren pracy powiększył się kilkakrotnie.

I wtedy to jesienią wróciła tęsknota za lubelszczyzną. Opiekunowi przedłożył prośbę. Chce wrócić do wsi rodzinnej.

Chce się przyczynić tam do powstania spółdzielni produkcyjnej.

Po raz pierwszy gotował się do opuszczenia opiekuna. — Widać już czas na samodzielny lot — powiedział stary. — Bądź pomocnikiem partii!

W gminnej wsi rodzinnej nasz bohater został ustawiony w SOM-ie i w zarządzie ZMP. Z tych pozycji jesienią zmobilizował pomoc sąsiedzką dla orki i siewu, bo „lubelszczyzna, żywna i słoneczna to ziemia jeszcze niedawno wielkich dworów i dwumorgowych chłopów”. Akcja ta odbyła się przy okazji GS, z kumoterystami stosunków a GRN wyrwała z biurokratycznej dretwo-ty. Zimą ożywił koło, ruszyła świetlica, czytelnictwo, dyskusje, kurs ideologiczny, najwcześniejsza gazetka ścienna w trzech egzemplarzach, jeden z nich nalepiany był na murze kościelnym. Ksiądz pamiętający okoliczności śmierci ojca naszego bohatera, nie śmiał protestować. Zimą przeprowadził kurs narciar-

ALDO CASSATO

Adenauer miły gość Watykanu

Czytaliśmy w pismach codziennych, że „kanclerz” z Bonn, Adenauer, udał się dnia 14 czerwca do Rzymu, gdzie odbył szereg rozmów z członkami gabinetu de Gasperi i oczywiście zameldował się na watykańskich pokojach.

Francuskie pismo *Combat*, pozwalając sobie na liczne niedyktacje oświadczyło wprost, że istotnym inspiatorem podróży Adenauera do Rzymu był Watykan.

Rzymski dziennik *Il Quotidiano* dodał do tego oświadczenia informację, że celem tej podróży nie było stworzenie osi Rzym — Bonn, wedle dawnego hitlerowsko-mussolinowskiego wzoru — a zbudowanie trójkąta Rzym — Paryż — Bonn.

Informacja ta wygląda na dokładną — w tym kierunku bowiem rozwijają się stosunki na śródkowym odcinku kontynentu europejskiego. Trzy rządy dzisiejsze — włoski, francuski i zachodnio-niemiecki mają bardzo zbliżony program i bardzo zgodne zamiary: remilitaryzację Niemiec zachodnich i odrodzenie przemysłu wojennego w ramach planu Schumana. Ci trzej partnerzy stanowią w ramach paktu atlantyckiego — grupę najposłuszniejszą wobec amerykańskiego protektora. Nie ma wśród tych przedstawicieli trzech rządów żadnych odruchów i narodowej dumy, żadnych zamiarów ratowania suwerenności, czy niezależności politycznej. Gabinety Quellu’a, de Gasperi i Adenauera to trzy podobne do siebie grupy, kapitalistów, trzymających się amerykańskiej klamki. A w imię „dobra kościoła” opiekują się tymi trzema rządami inspirowane i kontrolowane Watykan, związany z Waszyngtonem wszystkim fibrami swej absolutystycznej, hierarchicznej struktury.

Rzecz inna, że ludy, pchane przez te trzy rządy, włoski, francuski i zachodnio-niemiecki, w otchłań wojennego ryzykowania nie zdradzają najmniejszej ochoty do krwawych awantur. Co trzeci Włoch, co trzeci Francuz jest komunistą — 85% Niemców zachodnich woła „ohne uns” — bez nas!

Mało interesującym byłoby dowiedzieć się, co Adenauer chciał sprzedać w Rzymie. Zapewne nie wiele, bo sprzedał się już dawno swoim amerykańskim protektorom. Ciekawszym za to jest to, w jakim kierunku szły ojcowiskie rady papieża, i jaką atmosferę owego stary kolezka von Popena, kardynała Fringsa i pralata Kaasa zastał na watykańskich pokojach.

Wydało się nam rzeczą bardzo naitną, gdy pismo francuskie *Paris Soir* podaje jako rewelację, że hrabia Sforza, będący u de Gasperiego ministrem spraw zagranicznych jest zwolennikiem uzbrojenia Niemiec Zachodnich. A jakże by śmiało nie być, gdy zdecydowano wyżej, że musi gardować na rzecz remilitaryzacji? Przypomnijmy sobie, co powiedział papież Pius XII jeszcze dnia 7 grudnia 1948 roku przez radio po niemiecku, do kongresu uchodźców politycznych ze wschodu, zwołanego do Moguncji: „Możliwe jest, że na pewnych odcinkach (tzn. na Odrze i Nysie) trzeba będzie jeszcze walczyć do ostatniej kropli krwi”.

Tak myśli Pius XII. I na pewno zdaje sobie sprawę, że bez remilitaryzacji Niemiec zachodnich, żadna walka „do ostatniej kropli krwi” nie byłaby możliwa. W tym świetle fakt, że pionek Sforza wypowiada się za remilitaryzacją ma bardzo małe znaczenie. Po prostu powtarza to, czego go nauczono z polecenia jego świętobliwości.

Pamiętamy, że po zjeździe w Moguncji „katolicka rada uchodźców” z kardynałem koloniśm Frigsem i biskupem uchodźców Dirichsem na-

ski, zapoczątkowując Koło Sportowe.

Włosną przy siewach koło podjęło pierwszy werunek do spółdzielni produkcyjnej. Na żniwa przyjechała szkolna brygada żniwna. W sierpniu 60 chłopów wstąpiło do spółdzielni produkcyjnej. Kandydatów na przewodniczącego wysunęło trzech, najmłodszym był nasz bohater. Został obrany przewodniczącym. Ale nie przyjął godności.

Wróćmy do wsi, aby Wam pomóc dojść do nowego. Poszło Was wielu, pójdzie jeszcze więcej. Caej to przecież wsi sprawa a nie tylko moja. Jeżeli udało mi się Was przekonać w ciągu niespełna roku to czyjaż to zasługa, moja, czy Wasza? Myślę, że Wasza. Jakże nie wiele trzeba było, abyście ruszyli naprzód. Pozwólcie mi się teraz uczyć. Praktykę rolniczą mam, pragnę teraz nauki, bo chciałbym umieć pomagać w marszu do nowego życia nie tylko jednej wsi i nie tylko pojedynczo od jednej do drugiej wsi. Może mi się to uda. Zamiar mam szczerzy, czy nie uważacie go za szustny?

Od roku studiuję na akademii rolniczej w Olsztynie. Na akademii, gdzie, jak Gałąż mówi, nasze centralne zagadnienie to rejonizacja produkcji rolniczej i hodowlanej w Polsce.

Hier Chmura

czyle słała do Rzymu dziękczynne hołdy — a jakiś niefortunny mówca na wiecu w Westwalli wykrzykiwał z rozczuleniem „mamy narzeczone niemieckiego papieża” — nie wiedząc, że ludność Rzymu z głuchą niechęcią powtarza właśnie te same słowa — *papa tedesco* (niemiecki papież) — które to określenie już do osoby Piusa XII przyrośło.

Nie ograniczmy się tu do przypomnienia, że prawda pojawia się zawsze na ustach ludu. Postaramy się przytoczyć garść szczegółów świadczących o głębokim uzasadnieniu tego twierdzenia.

Wiemy, że w r. 1917 młody pralut Eugeniusz Pacelli zjawił się w Monachium w tajnej misji, proponując Wilhelmowi II ratowanie cesarstwa niemieckiego i Austro-Węgier drogą kompromisu z Włochami, pokój odrębny. Dalszym ciągiem tej pertraktacji zajął się brat cesarzowej Zyty, Sykatus Burbon-Parma. W zamian za ratowanie obu dynastii, Hohenzollernów i Habsburgów Watykan żądał wówczas stworzenia państwa watykańskiego i pół miliarda lirów zło-tem. Wszystko, jak wiadomo, spaliło na panewce.

Tenże Eugeniusz Pacelli, już jako biskup i nuncjusz w Monachium doprowadził później do konkordatu między Watykanem a Bawarią. Następnie popierał zaczął niejakięgo Adolfa Hitlera — i był tym, który, — jak pisał przemysławiec Thyssen — doprowadził Hitlera do władzy. Francuski historyk Harcourt podkreśla, że Watykan był „pierwszą instancją, która przez umowę z Hitlerem zalegalizowała jego podpis. Konkordat, zawarty przez nuncjusza Pecellego z Hitlerem był dla tego ostatniego wielkim sukcesem. NSDAP — partia nazich została uznana przez jeden z najwładniejszych autorytetów świata” — a w ślad za tym dopiero nastąpiło uznanie reżimu hitlerowskiego przez inne państwa.

Wiadomo, że Hitler zachował głęboką wdzięczność dla nuncjusza Pacellego — to też na conclave 1939 roku kazał on von Bergenowi swemu ambasadorowi przy Watykanie doradzać kardynałowi, by wybrał na papieża kardynała, przychylonego Niemcom. Było to wskazanie palcem na kardynała Pacellego. A więc najpierw Hitler był elektorem Pacellego, a później Pacelli elektorem Hitlera. Ta wymiana usług zaciążyła w sposób dość gorzki w dziejach XX wieku.

Przypomnijmy jeszcze kilka faktów, specjalnie wymownych dla Polaków. W dniu bombardowania Warszawy 28 września 1939 roku, tuż przed kapitulacją, nowy papież Pius XII Pacelli przyjął grupę niemieckich pielgrzymów, do których powiedział po niemiecku: „Witam was serdecznie drodzy synowie. Wicie, jak głęboko przyjmujemy udział w zagadnieniach i przejawach życia kościelnego i duszpasterstwa wśród narodu niemieckiego”.

Józef Parnas

Nauki rolnicze

Znaczenie Kongresu Nauki Polskiej i wyłonionej na nim Polskiej Akademii Nauk — zostało należycie podkreślone przez robotników, uczestniczących w Kongresie, przedowników pracy górnictwa i fabryk — przez setki depesz klubów racjonalizatorskich hut i fabryk całego kraju.

Oczywiście, brak na trybunie Kongresu delegatów naszych PGR i Spółdzielni Produkcyjnych — nie pomniejsza w niczym tego znaczenia Kongresu Nauki Polskiej Akademii Nauk — dla socjalistycznego rolnictwa i hodowli, naszego kraju. Świadczy to jednak o tym, że nasza nauka rolnicza, zootechniczna i weterynaryjna — jeszcze nie należyce związane są w jedną organizacyjną całość z praktyką, z tysiącami gospodarstw rolnych, kierowanych przez Min. PGR, z tysiącami pionierskich spółdzielni produkcyjnych, wymagających czułej opieki nauki. Pod tym względem jesteśmy nie wesośli, mocną nogą na szlak radzieckiej łączności miasta ze wsią, z kładoch naukowych z kolchozami i sowchozami. A niemiale osiągnięcia, jakie niewątpliwie mają nasza przodujący uczeni w tej dziedzinie — nie znalazły na Kongresie wypunktowania, na równi z przemysłem i naukami technicznymi.

Mimo to, Kongres Nauki wykonał olbrzymią robotę dla postępu naszego rolnictwa. Jest to zasługa Sekcji Nauk Biologicznych i Rolniczych. Na czele Sekcji stali wybitni uczeni: Rektor Kulczyński i Prof. Litwinski. Sekcja dzieliła się na Podsekcje.

W ciągu kilkunastu miesięcy pracy w grupach roboczych dokonano krytycznej analizy przeszłości agrobiologii, agrotechniki, zootechniki i weterynarii, przewidywając objawy kosmopolityzmu we wszystkich jego przejawach, wypunktowano dorobek naszych polskich postępowych uczonych, jak Dubowski, Nussbaum,

Wypowiedź tego rodzaju bez słowa o wojnie i o Polsce w chwili, gdy oczy całego świata zwrócone były ku Warszawie — była chyba dość wymowna.

Tenże Pius XII kazał swemu nuncjuszowi w Berlinie kardynałowi Orsenigo oświadczyć Hitlerowi dnia 18 stycznia 1942 roku „Stolica święta jest nadal szczerze skłonna uczynić wszystko, co jest w jej mocy w zakresie praw i obowiązków, by polepszyć stosunki między kościołem a państwem niemieckim”.

I w imię tego „polepszenia stosunków” w zakresie praw i obowiązków — uważała milczenie w sprawach krematoriów, dymiących w Polsce, za rzecz naturalną i dopuszczalną dla poprawnych stosunków dyplomatycznych. Nic więc dziwnego, że Goebbels pisał w swych pamiętnikach pod datą 17 marca 1943 roku: „Watykan stwierdził, że nie ma nic wspólnego z celami wojennymi naszych przeciwników. Dowodziłoby to, że papież jest nam o wiele bliższy, niż się powszechnie przypuszcza”.

W przyszłości, może się on okazać dla nas bardzo pożyteczny”.

Goebbels trafnie przewidział, Pius XII okazał się „ogromnie pożyteczny” ogłaszając swój oślawiony list pasterski z dnia 1 marca 1943 r. do biskupów niemieckich. Był kłedyś pierwszym, uznając Hitlera. Był znów pierwszym, w atakach na granicę na Odrze i Nysie.

Wiedząc, o tym wszystkim trudno się dziwić, że tenże Pius XII w liście do „ukochanych synów i córek Berlina” pisał: „szczerą miłość bliźniego przejawiała się pośród was wspaniale w czasie bezdomności i głodu”. Bo tylko bezdomność niemiecka, bo tylko głód w Niemczech — to rzeczy ważne dla dzisiejszego władcy państwa watykańskiego. I oczywiście chodzi nie o Niemcy. Demokratyczne, bo tam głodu nie ma. Obozy śmierci i eksperymenty hitlerowskiej zbrodniczej medycyny — to rzeczy, o których Pius XII nie mówił nigdy. Ważne dla niego jest jedynie to, że Hitler przegrał wojnę i że z tego powodu cierpieli Niemcy.

Gdy 19 września 1950 roku odbywał się „dzień katolicki” w Passawie w obecności Adenauera i innych katolików Trizonii, otrzymano specjalne orędzie papieskie. Była w nim mowa o „katolickich Niemcach, znanych ze znakomitego wychowania katolickiego... Katolicy niemieccy strzegli zawsze trzech świętych zasad i świętości sakramentów, czi Matki Boskiej i głębokiego Związku z Namiestnikiem Chrystusowym na ziemi, co w roku świętym znalazło tak oczywisty wyraz”.

I jak tu nie zestawiać tego świętego wychowania katolickiego z tysiącami faktów, świadczących że to wychowanie w Niemczech zawiedło. Bo przecież katolikami z wychowaniem był Hitler. Katolikami i to praktykującymi był Buchler, kat z Belzen. Działaczem Akcji Katolickiej był Glubochnik. Katolikami był dr Oswald Pohl, szef inwentury SS, główny winowajca tortur milionów ludzi, organizator obozów w Oświę-

cimiu, Majdanku, w Dachau, w Buchenwaldzie, twórcą wszystkich fabryk masowej śmierci.

I temu właśnie Pchlowi Pius XII przed wykonaniem wyroku — przesłał specjalne błogosławieństwo. Przesłał je zwierzęciu w ludzkiej skórze, współodpowiedzialnemu i to w wielkiej mierze za śmierć 1811 księży, 521 zakonników i zakonnic i 4 biskupów polskich.

Zdawało by się, że każdego katolika, każdego księdza zwiastacza, Watykan winien był bronić przed zbierami hitlerowskimi. A co zrobiła kancelaria papieska?

Wysłała jeden ogólnikowy, mętny list do Ribbentropa (który wydrukował zresztą *Tygodnik Pows.* ochny). Na list ten nie „otrzymano w Watykanie odpowiedzi. A na ten brak odpowiedzi nie było żadnej reakcji.

W latach ostatnich Pius XII próbował starej broni kościelnej komunikacji. Dlaczego nie użył tej broni, gdy miliony ludzi ginęły w obozach śmierci — i gdy obowiązek człowieka, podkreślającego że nosi tradycyjny tytuł „namiestnika Chrystusa” było ekskomunikowanie pobożnych katów niemieckich, przynajmniej się do katolicyzmu.

Mobilizmyśmi duogo jeszcze cytować te gorzkie rzeczy. Litania ich niestety jest bardzo długa. Ale wróćmy do współczesności.

Nuncjuszem papieskim w Niemczech zachodnich jest arcybiskup Muench, Amerykanin, niemieckiego pochodzenia.

Tenże Mueuch, w licznych swych przemówieniach w Trizonii, nawoływał i nawołuje do remilitaryzacji Niemiec zachodnich. Czyż nie przypomina to wojownicze przemówienia Piusa XII podczas zjazdu Moguncckiego 1948 r. „o potrzebie walki do ostatniej kropli krwi”?

Tak to wyglądała ta sprawa, zabiegająca się o problem pokoju światowego, a na waszym polskim odcinku o sprawy djeceji katolickich na Ziemiach Odzyskanych?

Miłość chrześcijańska w tych wypowiedziach watykańskich jest bardzo niewiele. A zato bardzo dużo prohitlerowskiej i w ogóle profaszystowskiej polityki. Pamiętamy sprawę Spiełtów, Greiserów, Franków, Weizsackerów.

Kontynuatorów tych zażartych agentów hitlerizmu po dziś dzień Watykan gładzi po głowkach. Na terenie państwa watykańskiego udzielało się i udziela najbardziej skompromitowanym hitlerowcom dyktando i gościny. Organizuje się ich rekrutację do Legii Cudzoziemskiej francuskiej w Marokko, do Vietnaru, do Indonezji, do Azji Mniejszej. Jeśli nie słowami to czynem opowiada się po stronie podżegaczy wojennych.

Spyta dziś może — a katolicyzm? A nauka Chrystusa?

Jasną jest rzeczą, że wszystko, o czym mówiliśmy — to sprawy bardzo ziemskie — i bardzo wstrętne.

Tym bardziej razi cytowanie ewangelii i zasad religijnych przez polityków w sutannach.

Aldo Cassato

samokrytyka ułatwity naszym uczyni odciać się od uprzedzeń i nawrstań przeszłości. Kongr. dokonat przełomu w ideologii naszych badaczy w zakresie rolnictwa, wywołat twórczy ferment światopoglądowy i metodologiczny, który kieruje prace badawcze w stronę życia współczesnej Polski Ludowej w stronę nowego socjalistycznego rolnictwa, zootechniki, weterynarii, leśnictwa i ogrodnictwa.

A wszystkie te nauki znalazły w Kongresie Nauki, w jego akcjach przygotowawczych, silną i niezawodną bazę realną w naukach biologicznych, zoologii i parazytologii botanice, fizjologii, biochemii.

Jest to b. ważne historyczne osiągnięcie samego Kongresu Nauki.

Plan naszych badań w sześciolatce koncentrować będzie wszystkie środki osobowe i materialne jako problemów zoologicznych: wzrost żywności gleby, wzrost plonów, wzrost bazy paszowej dla zwierząt hodowlanych, aklimatyzacja nowych gatunków roślin i zwierząt, powiększenie ilości i jakości kont, bydła, świń, owiec, drobiu, zarzucenie w sektorze indywidualnym jak też w gospodarstwach socjalistycznych, zwiększenie zdrowotności zwierząt i roślin, ochrona przed chorobami szkodnikami i pasożytami roślin i zwierząt.

Polskie rolnictwo i hodowla ma prawo spodziewać się nowych osiągnięć dla planu 6-letniego we współpracy nauki z praktyką, wynikającej z wytycznych I Kongresu Nauki Polskiej, Spółdzielni produkcyjnej i P. G. r. zajądą w PAN najbliższego opiekuna i nauczyciela, czerpiącego pełną garść z bogactw doświadczeń Akademii Nauk ZSR, Akademii Nauk Rolniczych im. L. nina, której prezydent Lysienko — jest dla nas niedoścignionym wzorem pracy naukowej dla narodu, dla socjalizmu i polsoju.

Józef Parnas

Prasa regionalna

W ciągu ostatnich paru tygodni nasza prasa regionalna stała pod znakiem wielkich budów socjalizmu, subskrypcji Pożyczki Narodowej, Kongresu Nauki Polskiej i przygotowań do zjazdu.

Apel huty „Kościuszkowa” i potężna fala zobowiązań lipcowych — postawiły w pierwszych dniach lipca nowe zadanie przed prasą regionalną — mobilizowanie wysiłku produkcyjnego mas dla uczczenia Święta Wyzwolenia.

Nasze gazety w terenie robią to lepiej lub gorzej w zależności od tego jak silnie wiążą się z klasą pracującą i w jakim stopniu stały się organem umożliwiającej Partii rozmowę z masami...

Na uwagę zasługują pod tym względem „GŁOS WYBRZEŻA”, organ Gdańskiego KW PZPR. Pamiętamy jak w ankiecie „Gazety Krakowskiej” na temat czytelnictwa i prasy — robotnicy, pisząc o sposobach powiązania gazety z terenem, żądali więcej reportaży, rozmów, dialogów, gdzie występowałyby nie tylko cyfry i suche opisy, ale żywy człowiek ze swoimi zagadnieniami, ze swoją historią, ze swoją drogą życia.

Otóż mocną stroną „Głosu Wybrzeża” jest właśnie to patrzenie na wielkie zagadnienia walki o Plan 6-letni i socjalizm od strony podmiotu tej walki — robotnika i chłopca.

W reportażach „Głosu Wybrzeża” często występują żywi ludzie, często cytują się ich wypowiedzi, często zamieszcza się rozmowy z nimi i o nich.

Uważny obserwator zanotuje, że „Głos Wybrzeża” nabył w znacznym stopniu trudną umiejętność pokazywania całości za pomocą jej charakterystycznego fragmentu, pokazywania pracy zakładów na podstawie osiągnięć poszczególnych zespołów, przedstawił jakiegoś typowego zjawiska i problemu przez pokazanie jak załamuje się on w psychice typowego ale konkretnego, żywego człowieka.

Gdy np. pisze o walce o zwiększenie produkcji w Zakładach Przemysłowych PZZ w Starogardzie nie sili się na wyliczenie wszystkich procentów, cyfr i cyferek, na protokółowe i kronikarskie pokazanie

wszystkich zakątków tej fabryki i wszystkich wydarzeń, ponieważ ta metoda — oznacza w gruncie rzeczy o wszystkim po tebkach, oznacza, że artykuł staje się suchy, zdawkowy i martwy, że brakuje w nim miejsca na człowieka, że w najlepszym razie upodobi się do bilansu handlowego i nudnego formalnego sprawozdania.

„Głos Wybrzeża” pisze w tym wypadku o jednej sprawie, artykulewi daje tytuł: „Historia nowej tuszczarki”, wprowadza na szpalte jednego głównego bohatera na tle kolektywu — racjonalizatora Grajewskiego i za pomocą jego zmagania o zwiększenie produkcji przekonywając, konkretnie i obrazowo pokazanych — doskonale wprowadza czytelnika w atmosferę walki o plan, przybliża do tych dzielnych ludzi, porusza ich przykładem.

Trwa akcja subskrypcyjna. Wiele gazet poszło po najmniejszej linii oporu — zamieszczając tylko kawałki obywateli przodujących w subskrypcji Pożyczki i parę sloganowych wypowiedzi subskrybentów. „Głos Wybrzeża” podszedł do sprawy głębiej. Na jego łamach zaczęły się ukazywać reportaże, rozmowy z chłopami i robotnikami, gdzie w sposób szczegółowy i wyczerpujący, nie uchylając się od żadnej nasuwającej się w związku z subskrypcją kwestii ludzie rozmawiali z sobą na temat Pożyczki.

Oto w reportażu p.t.: „Ja, prosty chłop z osady Malborg, chcę się też przyczynić do tego, by Polska była silna” — Teofil Kuper i jego sąsiadzi rozprawiają „po swojemu” o pożyczce.

Obok rozmowy z bezpartyjnym monterem ze stoczni Walentym Szczepnym. Niżej na tej samej kolumnie widzimy artykuł: „Odpowiadamy na pytania w sprawie Narodowej Pożyczki Rozwoju Sił Polskich”.

Podobnie gdy chodzi o czyn lipcowy, o przygotowania do zjazdu. Pokazanie przykładowo ale problemowo żywo, głęboko, jak te sprawy wyglądają w danej wsi, spółdzielni produkcyjnej, POM-ie, SOM-mie czy PGR-e wydaje się właściwszym niż ogólnikowe omawianie problemu na kanwie całego województwa.

Mamy dość wyzysku!

Wies Krzaki leży w powiecie sieradzkim. Wzdłuż drogi prowadzącej do gminy Brzeźno, usadowiły się niskie, schłodzone domki, czyste utrzymanie zabudowania gospodarskie. Wies ta jest duża, liczy około 84 gospodarstw, w większości należących do małego i średnio rolnych chłopów.

W roku 1948 we wsi zaczęto uprawiać ziarno, szczególnie miętę. Wówczas z inicjatywy młodości chłopów przystąpiono do budowy wytłaczalni olejków. Warunki były dogodne, mały strumyczek przepływał wzdłuż drogi przez wiośnię, a woda z mostem przy drodze w pokątny stawek. To miejsce nad stawem wybrano pod przyszłą fabryczkę. Wies poczęła stawać na „nogi”, w fabryczce znalazło zatrudnienie wielu spośród miejscowej biedoty. Ziarno zaczęły przynosić nadszpejdziwanie wysokie dochody gromadzie.

Własny, choć drobny przemysł wywołał przewrót w całej gospodarce wsi Krzaki. Chłopi doszli do wniosku, że i uprawę zbóż trzeba poprzeczyć w sposób bardziej nowoczesny. Dlatego też założono grupę uprawową, do której od razu zgłosiło się 14 małych i średniorolnych chłopów.

Prace swą rozpoczęła grupa uprawowa już w zimie. Przynajmniej dwa razy w tygodniu zbierali się chłopi w świetlicy w celu szkolenia fachowego. Przerabiano gleboznawstwo, omawiano rejonizację zbóż i jej znaczenie, dyskutowano nad nowoczesniejszymi zdobyczami agrobiologii i agrotechniki radzieckiej. Pustelnik Stefan, Pustelnik Helena, Józef Pokraka, Edmund Lotka, wszyscy członkowie grupy coraz bardziej zapalali się do nowych metod pracy na swoich polach.

Ale ta praca nie przychodziła grupie łatwo. Kulacy oceniający znaczenie grupy jako elementu wiążącego chłopów mało i średniorolnych w całość niezależniącą się od nich, rozpętali wroga kampanię. Ruszył do „natarcia” młynarz Kowalski, pomagał mu Władysław Pustelnik, pomagali w wrogię robotę pozostałi kulacy i ich zwolennicy.

Kowalski prowadził młyn od wielu lat. W Krzakach nie miał gospodarstwa, znajdowało się ono w sąsiedniej wsi. Obrabiali mu je biedni chłopi, którzy także odrabiali pracę w młynie „dobrodziejstwa” kulaka. Kowalski w tym czasie, kiedy inni mordowali się za niego, laził po wsi i buntował.

— „Kłnę się na Boga” — mawiał — „że taka grupa to początek

kolchozu. Jeszcze blok nasłenny, lub grupa plantatorów, to pół bieda. Tam ci bracie dadzą tylko ziarno kwalifikowane, dostanieś nawozy i więcej cię nie obchodzi. A tu, w tej grupie uprawowej... to i obróbka wspólna i konie wspólne, ziarno dla wszystkich jednakowe. Nic, tylko kolchoz...”

Byli tacy w gromadzie Krzaki, którzy wierzyli słowom kulaka. Przesłali nawet przychodząc do świetlicy, gdzie odbywało się szkolenie członków grupy uprawowej, choć to ich bardzo ciekawiło. Wiele z nich miało doświadczenie z kampanii kulackiej. I na Kowalskiego znalazł się sposób. Na jednym zebrań gromada wystąpiła z wnioskiem o upaństwowienie młyna.

„Nie chcemy płacić kulakowi paszarskich cen za przemiał. Mamy dość jego wyzysku i jego propagandy. Chcemy by młyn był państwowym, to znaczy naszym” — mówiono. Kowalski próbował oponować, potem zrezygnował z obrony. Wiedział, że przegrał. Pewnego dnia opuścił wioskę, przenosił się do sąsiedniej gromady na gospodarstwo.

Kłesa Kowalskiego była jednocześnie kłesą wszystkich kulaków gromady Krzaki. Zdemaskowano także ich popleczników. Usunięto z Partii Władysława Pustelnika, który pod wpływem kulaków próbował przeróżnych kombinacji z fawozami sztucznymi. Od razu robota ruszyła na nowo. Zaktywizowało się Koło Gospodyń, które zorganizowało grupę hodowlaną drobiu, 44 członków Związku Samopomocy Chłopskiej założyło grupę hodowlaną bydła oraz trzody chlewnej. Intensywniej poczęła także pracować grupa uprawowa.

Tak oto w małej wsi Krzaki raz jeszcze potwierdziła się prawda, że motorem dziejów jest walka klasowa. Im ona silniejsza, tym żywszy rozwój. Im rozwój żywszy, tym bliżej do socjalizmu. Chłopi z sieradzkiej wsi powiadają z kole, że „grupa uprawowa to trochę mało”. Myśle już o spółdzielni produkcyjnej.

Andrzej Wera

KSIAŻKI NADESŁANE

J. Stalin — Referat sprawozdawczy na XVII Zjeździe Partii o działalności KC WKP(b) — str. 101.
J. Stalin — Referat sprawozdawczy na XVIII Zjeździe Partii o działalności KC WKP(b) — str. 76.
Komunistyczny walc w walce o pokój — str. 258.
Teodor Florjański — Naród włoski w walce z imperializmem amerykańskim — str. 141.
Roger Garandy — Literatura grabarzy — str. 68.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redakcja Komitet

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12, tel. 40180—90
Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr. 7.
Prenumerata i Kolorat: P. P. K. „Ruch”, Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804 20 do 25.
Tel. Red. Nacz. 727-86, Tel. Redakcji 751 80, wewnątrz 91, 63
Redakcja NIE ZAMOWIOWYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.
Wpłaty na prenumeratę można dokonywać Plac 8 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3—zł; kwartalnie 9—zł; półrocznie 18—zł; rocznie 36—zł;
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO, Warszawa
I — 6842/110 z zaznaczeniem „za tytuł „Wies”.

RSW „PRASA” Warszawa Marszałkowska 3/5 2-B-33271

Rogatki kultury na Śląsku...

U nas na Śląsku Domy Kultury odgrywają główną rolę w propagowaniu i krzewieniu kultury oraz oświaty wśród ludzi pracy. Taka funkcja społeczna jest bardzo zaszczytna, ale zobowiązuje do aktywnej działalności. Jasna rzecz. Po pracy przychodzi robotnicy znaleźć chwilę wytchnienia, poczytać pisma, książki, posłuchać muzyki i pogadać.

Dłatego słów kilka o złych Domach Kultury, a są i takie:

Miejscowość Łabędz znana jest z budowy wielkiej huty. Tutejszy Dom Kultury posiada piękną salę widowiskową i kilka innych okazałych sal. Lecz coś z tego, skoro sale są puste! Brak biblioteki, czytelników, stołów, krzeseł i gazetki ściennej, gazet i pism. Nie pracują żadne zespoły artystyczne.

Widnieje na gmachu duży napis: „Dom Kultury”. Tyle na zewnątrz, a wewnątrz same cuda: „Wstęp wzbroniony”, „Do Wyszynku”, „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”, „Kuchnia”, „Społeczno-Obywatelska Liga Kobiet Zarząd Powiatowy w Łabędz”. Poza tym wspomnienia z jakiejś udanej zabawy (na cele kulturalne) w postaci kilku połamanych krzeseł i stołów, stanowiących resztą cały inwentarz tutejszego domu.

Ludzie przychodzą czasami do Domu Kultury na zabawę lub w tygodniu zobaczyć obiadowe kino.

Obchodząca niedawno zasłużony jubileusz pięćdziesiąt lat, świetlica huty im. Stalina w Łabędz, mieści się o 80 m od tego do-

mu. Brak jej pomieszczeń na gabinety techniczne, bibliotekę i prace zespołów artystycznych, a w Domu Kultury na odmianę pustki.

A teraz Pyskowice. Obecnie już rozbudowują się, powstanie tu bowiem w niedalekiej przyszłości osiedle robotnicze. Pewnego dnia niedzielnego moza było widzieć, jak do Domu Kultury włączano beczki pełne piwa przy akompaniamencie muzyki z radiowozu.

To pan Ploch wyprawiał wesołość. Dziś w tej sali wesele, jutro zebranie, pojutrze nic nie będzie, potem znów zebranie, wreszcie zabawa. I tak sobie w kółko, jak kołowrotek.

Jeżeli „Dom Kultury” w Pyskowicach nie jest placówką kultury, dającego w ogóle istnieć, czyżby był niepotrzebny? Takie twierdzenie nie jest słuszne. Ludzie pracy z kopalni czy huty wołają o godziwą i wartościową rozrywkę kulturalną. Potrzebują też muszę spełnić Domy Kultury, jako placówki kulturalne w tym celu powołane do życia. Ażeby należały do życia, Domów Kultury przekazać we właściwe ręce ludzi, którzy potrafili zorganizować życie kulturalne na swoim terenie. Również większą troskę winien okazać Związek Zawodowy. Wtedy nie będzie takich Domów Kultury, jak w Łabędz, czy Pyskowicach.

Jerzy Hlond

(Śląskie Koło Młodych Pisarzy)

Bohater książki krytykuje

Stale czytamy „Wies”, „Wies”, jak to się można przekonać choćby z jej ostatniej strony, żyje sprawami swoich czytelników. Wiele i ja postanowiłem napisać do „Wsi” w jednej sprawie.

Od roku jestem w Szkole Pracy Społecznej w Łodzi, przedtem był robotnikiem na Żuławach. Nie wno kupiłem w Łodzi książkę Władysława Rymkiewicza pt. „Ziemia wyzwolona”, mówiącą o moich rodzinnych stronach (mogę już tak powiedzieć, bo kocham tę ziemię; tam w pracy nad jej odbudową stałem się człowiekiem świadomym). „Żuław — to ziemia podwójnie wyzwolona: od zalewu hitlerzemu, od żywiołu wód”. Tak zaczyna autor książkę o naszej ziemi i widzę, że on ją również kocha tak jak i my, którzy wyzwoliliśmy ją „od żywiołu wód”.

Dłatego ja to piszę? Bo książka ta nie mówi jednak prawdy, o tym co było. Wcale czytelnika nie porwała. Akcja w niej toczy się jakoś leniwo. Ma się wrażenie, że przepływa obok jak za matową szybą. A przecież robota przy odnawianiu była pełna życia i diabelskiej gorączki. Ludzie się męczyli, wysilali, kłeli nie raz. Dzięki pomocy Partii rośli, tworzyli kolektywy świadomych swoich wysiłków.

A tego autora nie pokazał. Nie potrafił pokazać roli Partii w życiu i pracy codziennej, mimo, że od czasu do czasu mówi o Partii. Walka z wodą w książce nie wygląda bohaterko — a szkoda, bo wtedy

Pan Pańczyk i jego klika

Obywatel Pańczyk pełni zaszczytną funkcję prezesa Zarządu Gminnego ZSCh w Sławkowie i wchodzi w skład Komitetu Członkowskiego przy sklepie Gminnej Spółdzielni w Niwie pol. Owsz. Korespondent „Dziennika Polskiego” wyświłł oszukawcze machinacje Pańczyka.

Kiedy na sklep przydzielono mąkę pszenną, wepchnął Pańczyk do reki chłopom, kupującym mąkę po pół kg. starej, pełnej robaków sioininy na nic już nie zdanej w formie dodatku. Obawiał się deficytu, czy dużego manka?

Wyczytawszy te „oszczerstwa” Pańczyk zapalał „sprawiedliwym” gniewem, domagał się od redakcji ukarania korespondenta i groził, że poda do sądu. Wołał na wszystkie strony pod adresem korespondenta: „czas z nim skończyć raz na zawsze”.

Pańczyk wciąż jeszcze jest „bohaterem pozytywnym” w rozgrywanej się walce klasowej na terenie gminy Sławków. Nie ustąpił jeszcze

i inni by się uczyli i zapalali, a przecież teraz książka trafia już do nowego masowego czytelnika. Autor nie zrozumiał piękna i radości pracy. Tam wtedy pracowali różni ludzie z całej Polski, a autor nie pokazał, jak to oni się łamali, walczyli ze sobą, stawiali nowymi ludźmi (ten inżynier w książce wprowadził się „zmieniać”, ale to błąd wyszło).

Ludzie są papierowi, nieprawdziwi. Chociaż wierze, że autor tę pracę naprawdę widział, że był tam, ale w książce wypadło wszystko gazetowo, jak jakie sprawozdanie. I wreszcie czym się kończy książka? Zwycięstwem? Nie! Bo to, że jeszcze tylko 50 pomp należy uruchomić, nie jest najważniejsze. Najważniejsze jest, że ludzie dojrżeli, że porwała ich ta budowa, to nowe w ich życiu. Tego autor jednak nie pokazał.

No bo i nie mogę w takiej książce pokazać — z jej treści to nie wynika — mógłby najwyżej sztucznie to przykleić. Ja wiem, że to nie łatwo pisać dobrze i że nie każdy potrafi, ale przecież mamy prawo żądać, aby nowe książki były dobre. Bo kiedy się czyta dobrze powieści o swojej robotcie, to robi się potem raźniej i człowiek chciałby porwać się do jeszcze większej roboty. Przybywa sił. Ludzie w tej książce rozmawiają dość żywo — tylko trochę tak jakby deklamowali, a przecież jak w życiu kto mówi o Planie 6-letnim to nie deklamuje.

My chcemy naprawdę literatury — bo gazety już mamy i to dobre.

Józef Tatarczuk

miejsca ludziom naprawdę oddanym społecznym obowiązkom.

Przyjechały władze zbadać sprawę z Krakowa, ale nic nie zdecydowano. Pańczyk znowu się podeswał do walki z korespondentem. Ułożył pismo, że to nie prawda, co tamten powypisywał, — podpisał m. członkowie komitetu sklepowego i członkowie w Niwie. Więć wyszło zdykt z worka.

Cały komitet! sklepowy i członkowie — to kumotrzy. Cóż to za jedni?

Pierwsza, Głowaczowa, pani z wielkimi domem, siedząca w rezydencji leśniczówki lasów gromadzkich. Podczas okupacji tu odbywały się bale i uczty na cześć Niemców. Mieli za co wyprawiać i opłacać się wyprawiać. Zabrano chłopom biednym budulec, a dano panu Głowaczowi.

Drugi, to sołtys z czasów okupacji, Bachowski. Dobrze go wszyscy pamiętają, jak wysługiwał się okupantowi hitlerowskiemu, niczem pies. Ile ludzi wysłał na roboty na Zachód.

Aż wreszcie nasz bohater, Pańczyk, pełni w gromadzie funkcję sołtysa. Wszyscy go znają za dobrze — 8-miu absolwentów. Przed wojną była w Ponicach jedynie niska zorganizowana, przysłowiowa szkoła galicyjska. Przesunięcie grupki młodzieży z małych Ponic do powiatowego miasta następczo wiele kłopotów. Trzeba było uzyskać odpowiednie informacje, pisać podania, gromadzić potrzebne załączniki, przygotować młodzież do wstępnego egzaminu. Nikt tego wszystkiego załatwić na pozór nie mógł. Chłopi zajęci pracą w polu, przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego Franciszek Czupla współzawodniczy w akcji kontraktacyjnej, pilnuje więc owsa i jęczmienia jak oka w głowie. Zresztą, jak wielu starych chłopów z byłej Galicji, nie bardzo i wierzył, aby się udało komuś z Ponic cokolwiek w powiecie załatwić. A jednak wszystkie formalności mają już młodzi absolwenci poza sobą. Miejsce w internacie jest, stypendia zapewnione, jeszcze tylko egzamin w Zakopanem. Nauczycielka z Ponic — Irena Pokrywowa dowiodła, że prawdziwa troska nauczyciela o młodzież nie może zaniknąć się w murach szkolnych, zwięźć do jednostki lekcyjnej. Troska nauczyciela o młodzież towarzyszy absolwentom aż do szkoły wyższej.

Tu, gdzie wszystkie funkcje społeczne w gromadzie obsiedli kulacy, Koło ZSCh nie przejawia żadnej działalności i nie ma nic do powiedzenia. Kumoterstwo tak się rozwinęło, że kiedy przyszła nowa partia towarów, to trudno było się zorientować, kiedy rozebrano. Któż temu może zadać ostre pytanie?

Chłopi w Niwie, podnieście głowy wyżej i przetrząść szerzej oczy. Zwalczając dotychczasowe niepowodzenia we własnym niedołęstwie.

(Jerzy Hlond)

Dwa dni życia Anieli Bryk

Spróbujcie spytać Anielę Bryk ze wsi Rybaki leżącej w woj. zielonogórskim o najszcześliwszy dzień w jej życiu... Nie opowie wam ani o wielkiej reformie rolnej, nie wspomni słowem o opuszczeniu na zawsze ciasnej i mrocznej izby czworacznej opatowskiego majątku obywatelskiego, w którym spędziła — jakże gorzkie — dzieciństwo. Nie będzie mówił o osiedleniu się w gromadzie Rybki, ani o wprowadzeniu się do nowego, jasnego domu... Przez chwilę popatrzy na was pogodnymi oczyma, uśmiechnie się przyjaźnie i zacznie opowiadać. Wtedy dowiecie się, że w życiu Anieli Bryk były dwa takie szczęśliwe dni, których się nigdy nie zapomina.

Aniela Bryk jest formalską córką. Jej dziadostwo — to od 11 roku życia praca we dworze w Opatowie, służba w miasteczku Wieluniu, potem znów u obszarnika. A młodość? Spójrzcie na te twarde, żylaste ręce. One wam starczą za najbardziej obszerne i wyczerpujące opowiadanie o dniach trudnej walki przeciw wyzyskowi, przeciw zarobkom, starczającym zaledwie na sól i czarny chleb, przeciw gniedzeniu się licznych formalskich rodzin w izbach czworacznych, śmierdzących wilgocią i grzybem. Do dnia wyzwolenia Aniela Bryk w takich czworakach mieszkała...

Po wyzwoleniu osiedliła się wraz z mężem na Ziemiach Zachodnich. W gromadzie Rybaki, jak w wielu innych wsiach, dokonywały się dosłownie przemiany. W historii „Wsi” zaznaczyły się poszczególne etapy, tworzące nowe życie. Walcząca, już we dworze „ze starym”, Aniela Bryk mogłaby zobaczyć pełnią jakąś rolę w każdym z tych etapów. Powstawała we wsi spółdzielczość samopomocowa... Aniela Bryk była jednym z pierwszych założycieli sklepu spółdzielczego,

Przyszedł etap aktywizacji kobiet. Aniela Bryk pierwsza zorganizowała we wsi Koło Gospodyń, by w należyty sposób pokierować pracą świadomąją wśród kobiet. — Brak świadomości politycznej — mówi teraz — był nieraz przyczyną niezrozumienia zachodzących przemian, niedoceniania zadań jakie stawiała i stawia państwo ludowe i Partia przed nami i naszą gromadą. I teraz dowiecie się, że pierwszym najszcześliwszym dniem córki formalskiej było otrzymanie legitymacji partyjnej.

Aniela Bryk wychowywała Partia. Walka o nowe etapy życia na wsi, począwszy od kształtowania się spółdzielczości samopomocowej, poprzez aktywizację kobiet, organizowanie życia kulturalno-oświatowego, organizowanie kontraktacji roślin i zakładanie grup producentów — oto elementy, w których należało dojrzewać politycznej Anieli Bryk w każdym z tych etapów pełniła ona jakąś rolę rewolucjonistki. Rosta — produkuje — tak, jak rostała jej wieś...

Ta dojrzałość polityczna włożyła w rękę aktywistki pióro, by nim walczyć na łamach „Chłopskiej Drogi” — o spółdzielnię produkcyjną. Po zniwachu rzuciła chłopię ze wsi Rybaki stare formy gospodarstwa, zaczęła nowy etap w swym życiu, o który tak dzielnie Aniela Bryk walczyła. W gromadzie Rybaki powstała spółdzielnia produkcyjna. I oto jest drugi najszcześliwszy dzień w życiu Anieli. Z dumą, dekorowaną przez Prezydenta — Kawalerskim Orderem Odrodzenia Polski, — za działalność na terenie swej gromady jako korespondentki „Chłopskiej Drogi”, mogła oświadczyć: — Towarzyszu Prezydencie! Nasza gromada zwycięsko kroczy do socjalizmu!

Tadeusz Szwera

By produkcja była wyższa...

Przy jednej ze ścian małego pokoiku — klubu racjonalizatorów — w Państwowych Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Dubois, stoi czarna gablotka. Na pulkach poukładane, spoczywają modele przeróżnych wynalazków, zastosowanych w przemyśle, a wykonanych przez robotników — racjonalizatorów. Oto „model prasy” opatrzony numerem trzecim, skonstruowany przez starego robotnika z ZPB im. Dubois — Feliksa Kosińskiego. Obok „bijak klejony”, także pomysły Kosińskiego. Numerem szóstym oznaczono „haki do walki z tkaniną”, wykonane przez Wacława Pigulskiego. Dalej pod numerem piątym umieszczono „zderzak sprężynowy”, zastosowany przez Wiktora Biskupskiego i Wiktora Biskupskiego.

Ten zderzak budzi u zaglądatach do klubu, racjonalizatorów a także i przyszłych wynalazców — robotników duże zainteresowanie. Wiktora Biskupskiego jest przecież ich wykładowcą na odbywającym się w Zakładzie kursie dla racjonalizatorów. Pytaniami wprost zasypują Biskupskiego. Najbardziej ciekawym, zadającym najczęściej pytania, jest Wacław Jurzena. Ma już sześćdziesiąt lat, a uczy się jeszcze na kursie. Powiada, że jest najlepszym „sztabakiem” z całej klasy. A jak umie matematykę, ho, ho!

Jurzena jest ślusarzem. Pracuje w brigadzie remontowej Zakładów Przemysłu bawełnianego im. Hanka Sawickiego. Zna go nie tylko robotnicy tej fabryki. O Jurzenie słyszała cała Łódź robotnicza. Za swoje pomysły racjonalizatorskie został Jurzena przecież oznaczony.

Maciej Kobiera

Nauczyciel, młodzież, robotnicy i...

Oto szkoła w małej podhalańskiej wiosce — Ponic. Po raz pierwszy w jej dziejach rusza do średnich szkół — 8-miu absolwentów. Przed wojną była w Ponicach jedynie niska zorganizowana, przysłowiowa szkoła galicyjska. Przesunięcie grupki młodzieży z małych Ponic do powiatowego miasta następczo wiele kłopotów. Trzeba było uzyskać odpowiednie informacje, pisać podania, gromadzić potrzebne załączniki, przygotować młodzież do wstępnego egzaminu. Nikt tego wszystkiego załatwić na pozór nie mógł. Chłopi zajęci pracą w polu, przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego Franciszek Czupla współzawodniczy w akcji kontraktacyjnej, pilnuje więc owsa i jęczmienia jak oka w głowie. Zresztą, jak wielu starych chłopów z byłej Galicji, nie bardzo i wierzył, aby się udało komuś z Ponic cokolwiek w powiecie załatwić. A jednak wszystkie formalności mają już młodzi absolwenci poza sobą. Miejsce w internacie jest, stypendia zapewnione, jeszcze tylko egzamin w Zakopanem. Nauczycielka z Ponic — Irena Pokrywowa dowiodła, że prawdziwa troska nauczyciela o młodzież nie może zaniknąć się w murach szkolnych, zwięźć do jednostki lekcyjnej. Troska nauczyciela o młodzież towarzyszy absolwentom aż do szkoły wyższej.

Z Mińska Mazowieckiego donoszą, że z pełnym sukcesem składali tam egzamin dojrzalsi — „ciś bohaterowie na codzień” — robotnicy. Zdobyli maturę kol. Bogusz — kierownik SOM z Cegiłowa, pow. wo-

lińskiego, kol. Szuba — tokarz z Mińska, kol. Gromulka — nauczycielka wiejska z powiatu mińskiego i inni.

Zakończył się rok szkolny, czas najwyższy pomyśleć o nadchodzącym. Trzeba będzie, niejednemu uczniowi, ulepszyć organizację pomocy szkolnych dla uczących się młodzieży. Tegoroczne grzechy w tym zakresie nie mogą się powtórzyć. Spółdzielnie gminne powinny zadbać o sprowadzenie z central odpowiednich ilości zeszytów, ołówków, atramentu itd. Dobrze byłoby również, aby po podręczniki nie jeździła nasza młodzież do powiatu. Książki te mogą przecież rozprawać do biblioteki.

Szczególne wskazówki popelnienia Centrala Zaopatrzenia Szkół. Bohaterscy robotnicy Wytwórni Chemiczno-Mineralogicznej w Bytomiu wykonali z nadwyżką plan produkcji pomocy szkolnych dla młodzieży. A słynny już dziś z niedoświadczenia i lekceważenia zarówno wysiłku robotniczego jak i potrzeb szkoły CEZAS (właśnie owa centrala) w ogóle pomocy szkolnych nie rozprawiała. „Nie odebrana przez CEZAS produkcja z roku ubiegłego oraz bieżącego — piszą bytomscy robotnicy — wypełniać całkowicie magazyny wytwórni na skutek tego będzie wytwórnia zmuszona wstrzymać produkcję”.

I tak się to dzieje — wysłki robotnika, nauczyciela i młodzieży usługuje zmarowiały biurokrata. No a tego w przyszłym roku szkolnym być nie może. Nie powinno być zdarzyć się w minionym.

Jan Biegała